Nr. 40. Warszawa, dnia 3 Października (21 Września) 1891 r. **Rok XI.**

PRAWDA

FILOZOFIJA · NAUKI SPOŁECZNE · NAUKI PRZYRODNICZE · HISTORYA · JĘZYKOZNAWSTWO · SZTUKA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)

W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8 z odnoszeniem do domu.

Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. 2. k. 50, rocznie rs. 10

Adres: Marszałkowska (róg Żórawiej) Nr. 95.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.

Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.

Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.

Sprzedaż pojedynczych numerów po k. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. **10** za wiersz lub jego miejsce.

POLITYKA.

POŻYCZKA RUSKA.

Ostatni roczny okres czasu odznaczył się niezwykłemi operacyami finansowemi w polityce Rosyi. Minister skarbu kilkoma konwersyami zmniejszył znacznie dłużnicze zobowiązania państwa i nadał jego kredytowi mocniejszą podstawę. Postępując w dalszym ciągu po drodze redukowania procentów, p. Wysznicgradzkij zawarł przed kilku miesiącami układ z grupą bankierów zagranicznych, na czele których stał Rotschild, o nową pożyczkę 3% dla skonwertowania 4½ listów Towarzystwa wzajemnego kredytu ziemskiego. Jak wiadomo, układ ten w ostatniej chwili rozbił się z winy Rotschilda, który, korzystając z warunku w umowie, dozwalającego na zwłokę w wypuszczeniu papierów, wycofał się z tego przedsięwzięcia. Chociaż układ stosunków politycznych i ciągle podtrzymywana niepewność pokoju nie sprzyjały wielkim operacyom kredytowym, łatwo było przewidzieć, że o ile jakieś wypadki nie staną na przeszkodzie, ruski minister skarbu podejmie dźwignię, za pomocą której podnosi państwo ze strony finansowej. Jakoż doprowadził do skutku nową pożyczkę 3-procentową, w sumie 500 milionów franków przy pomocy instytucyj bankowych francuskich.

Pożyczka ta jest faktem tak niezwykłym, że zasługuje na bliższą uwagę. Nie najważniejszy bynajmniej jej rys stanowi to, że orędowniczy syndykat zawiązał się pod skrzydłami Crédit Foncier de France. Bo chociaż ta potęga finansowa Francyi zobowiązana jest ustawą do nieuczestniczenia w pożyczkach zagranicznych, łatwo mogła wynaleźć dla swego udziału formę zgodną ze statutem. Nie o to więc głównie chodzi, ale przedewszystkiem o stopę procentową, i o polityczną stronę operacyi. Mimo że kapitał zagraniczny oddawna zadawala się nizkiemi odsetkami i zapomniał o lichwiarskich pożądaniach naszego, na 3-procentowe papiery, zwłaszcza obce, nie jest łakomy. Nawet ostatnia pożyczka niemiecka tejże stopy znalazła bardzo słabe poparcie. Zaledwie tedy można było przypuścić, ażeby również 3-procentowa ruska zyskała w świecie finansowym opiekunów i nabywców. Tymczasem syndykat francuski dał jej swoją porękę. Obok wzmiankowanego Crédit Foncier stanęły inne instytucye wpływowe pierwszorzędnego znaczenia, które wypuszczą nowy papier po kursie 80. Jakkolwiek w tem zjawisku czynne były poniekąd względy polityczne, zaważyła głównie wiara w odpowiedzialność kredytu Rosyi i w poprawę jej finansowego położenia. Jeszcze przed dwoma laty nikt by nie przypuścił, że ruski oblig 3-procentowy będzie miał w Europie pokup. W tej zmianie spoczywa ważne znamię dokonanej operacyi.

Ma ona jeszcze drugie, które podkreślić należy. Gazety niemieckie z wielkiem oburzeniem doniosły, że w pożyczce przyjęły także udział ich domy bankowe. Atak prasy na nie był tak silny, że wyparły się one łączności z syndykatem francuskim i oświadczyły, że nabywać będą pożyczkę na własne jedynie potrzeby. Przed wyjaśnieniem tej sprawy rozpuszczono pogłoskę, iż Caprivi przychylnem okiem patrzy na uczestnictwo finansistów niemieckich w tem przedsięwzięciu, a nawet zniesie wydany przez Bismarka zakaz przyjmowania papierów ruskich w bankach rządowych. Zapytany o to, odpowiedział, że zakazu cofnąć nie myśli, co zaś do samej pożyczki, to „położenie polityczne nie pozwala mu ani jej popierać, ani przeciwdziałać.“ Takie oświadczenie kanclerza łącznie z napaściami prasy, która dowodziła swym czytelnikom, że nabywając nowy walor, zwiększać będą środki wojskowe Rosyi, nie pozostało bez wpływu na bankierów niemieckich, którzy ustąpili z pola.

Tym sposobem trzyprocentowa pożyczka oprze się niemal wyłącznie na siłach pieniężnych Francyi. W naturalnym rozwoju rzeczy między światem finansowym francuskim i niemieckim może wywiązać się walka. Pierwszy bowiem będzie usiłował okazać swą samodzielność i siłę, drugi zaś zarówno ze względów giełdowych, jak politycznych, będzie mu utrudniał spełnienie zadania. Na gruncie niechęci międzynarodowej powstałyby zapasy dwu potęg, które przedstawiałyby ciekawe widowisko. Chodzi tu nietylko o 500 mil. franków, ale o znaczenie obecne i przyszłe. Dotychczas wszystkie wielkie pożyczki, zwłaszcza ruskie, nie mogły się obejść bez patronatu niemieckiego, który udzielał swego błogosławieństwa nawet w chwilach największego rozdrażnienia stosunków sąsiedzkich. Obecna ma być probierzem mocy finansowej francusko-ruskiej, ma dowieść, czy dwa te państwa mogą dokonywać operacyj pieniężnych bez pomocy niemieckiej. „Nerw rzeczy“ za zbyt wielką odgrywa rolę w życiu politycznem mocarstw, ażeby ta próba nie łączyła się z bardzo ważnemi następstwami, daleko sięgającemi po za dziedzinę papierów procentowych.

Trudno obronić się chęci przewidywania. Mniemamy też, że giełda francuska wyjdzie z tej walki zwycięzko, a niemiecka po dłuższym lub krótszym szeregu utarczek zawrze z nią tajemne zawieszenie broni i uczyniwszy pozornie zadość wymaganiom opinii dziennikarskiej, zacznie szukać punktów zgody. Dziś wszakże nie zdradza ona usposobień pojednawczych. Przeciwnie, gotuje się do starcia, podniecana przez prasę, która ją burzy ze szczególną namiętnością. Gazety niemieckie wszelkich barw przemawiają w tej sprawie z taką nienawiścią, jakiej dawno już w nich nie spotykaliśmy. Więc sądząc z tych poduszczeń, możnaby przypuszczać długą i zaciętą kampanię, gdyby... gdyby pieniądz miał woń, której mu odmawiają i gdyby kapłani i czciciele Mamona pomimo najostrzejszych waśni nie byli spojeni węzłami należenia do jednej gminy.

LISTY SPOŁECZNO-POLITYCZNE O FRANCYI.

XVII.

Rady generalne, ich prawa i funkcye. — Prace obecnej sesyi. — Cła. — Propozycya dep. Pochona. — Kwestya ludnościowa. — Projekt Roche'a. — Więzienia.

Dzięki wakacyom Izb życie chwilowo zamarło i sesya tegoroczna rad generalnych bynajmniej go nie ożywiła. Prace ich nie są zwykle zbyt interesujące, gdyż niewiele mają do roboty. Zatwierdzają budżet departamentu, ale jego formy, granice i sposob zbierania podatków naprzód są oznaczone. Zajmują się sprawami miejscowemi w najciaśniejszem znaczeniu tego słowa, przyczem wykonanie ich rozporządzeń, o ile one przez władzę centralną odwołane nie zostaną, nie do nich należy; żadne ciało urzędnicze nie jest od nich zależne. Nawet oświata publiczna zupełnie prawie wyjęta została z pod ich wpływu. Od r. VIII aż do 1833 rady generalne składały się z członków mianowanych przez rząd; Konsulat, Cesarstwo, Restauracya odmawiały obywatelom prawa wyboru tych skromnych przedstawicieli kantonów. Ten stan rzeczy trwał zresztą mniej więcej aż do r. 1866, gdy prawo bardziej liberalne po części odmierzyło ich atrybucye i zwiększyło wogóle znaczenie. Zebranie narodowe z 18 1 r. chciało nawet poważnie obdarować je władzą, aby ustanowić ogniska oporu przeciw rewolucyom paryskim — przyjęto nawet prawo, które poleca im zastąpić parlament przez członków ze swego łona wybranych, gdyby ten przemocą rozpuszczony został. Sprawę departamentów wzięła wówczas w obronę prawica; lewe skrzydło wahało się, bojąc się pewnego rodzaju federalizmu konserwatywnego, któryby niewątpliwie się rozwinął wraz ze wzrostem władzy miejscowej. Zatrzymano się więc na pół drogi, oddając gminom to, czego departamentom odmówiono. Pierwsze otrzymały prawo wyboru mera, naczelnika administracyi mniej więcej rozległej i nawpół niezależnej, który ma pod sobą znaczną często liczbą urzędników i rozległe prawa policyjne. Departamenty zaś mają nad sobą prefekta, organ rządu, w zupełności od ich kontroli niezależny. Ich opozycya ogranicza się wyrażeniem plamy, do odmowy ich woli pozostawionego, a zatem nieznacznego kredytu, lub podobnej drobnostki. Najczęściej jednak ujawniają swe opinie polityczne przez wybór biura. W ten sposób można prowadzić corocznie statystykę rad republikańskich i konserwatywnych. Trzeba przyznać, iż ostatnimi czasy Rzeczpospolita, która dawniej w zgromadzeniach tych najwięcej miała wrogów, powoli podbija i te fortece reakcyi. Opozycya, jeżeli jeszcze w zupełności nie złożyła broni, staje się coraz skromniejszą. Obecnie nawet, po znanych zwycięztwach i powodzeniach dyplomacyi francuskiej, kilka departamentów, dotychczas konserwatywnych, zamkniętych w milczącem dąsaniu się, posłało rządowi pozdrowienia. Zadania rozstrzygane w Izbach obchodzą także i rady generalne, które prawo upoważnia do wygłaszania swych życzeń w sprawach gospodarstwa i ogólnego zarządu. Życzenia te w roku bieżącym domagają się po większej części wzrostu protekcyonizmu: barycry celne, któremi świeżo otoczono Francyę, wydają się im jeszcze zbyt nizkiemi. Zarazem, iż w ten sposób chcą pogorszyć położenie klas pracujących, niektóre odpierają przychylnością dla projektów ubezpieczenia robotników Constansa i zniżki kosztów sądowych Brissona. Zdania rad departamentalnych podzieliły się przy propozycyi dep. Pochona, dążącej do tego, aby wyłączyć od urzędów publicznych wszystkich młodzieńców, którzy pokończyli studya nie w szkołach państwowych. Wiadomo, iż obok szkół tego rodzaju, do których kler wstępu nie ma, istnieją jeszcze wolne, prowadzone przez księży. Otóż dane statystyczne, przedstawione w raportach p. Dupuy okazują, iż ilość uczniów wzrasta w tych ostatnich ze szkodą dla pierwszych. To też uniwersytet domaga się obecnie monopolu dla swych uczniów przy obsadzaniu urzędów, aby w ten sposób uwolnić się od niebezpiecznej konkurencyi. Żądanie to znajduje poparcie ze strony radykalistów, którzy w powodzeniu szkół klerykalnych upatrują nowy powód strachu o losy Rzeczpospolitej.

Ogłoszone rezultaty ostatniego spisu ludności francuskiej prześcigają obawy najposępniejszego pesymizmu. Rady generalne mocno się niemi zaniepokoiły. Poprzedni spis z r. 1886 przedstawiał ludność 38,219,000 mieszkańców; przyrost pięciolecia wynosił 566,000 osób. Jakkolwiek ta ostatnia liczba jest nader skromna, to w bieżącem pięcioleciu 1386—1891 nawet połowa jej nie została osiągnięta: przyrost wynosi tylko 208,000. Z następującej tabliczki można zobaczyć, z jaką fatalną prawidłowością rubryka ta wciąż szczupleje.

1872—1876	. .	812,867
1876—1881	. .	766,260
1881—1886	. .	565,880
1886—1891	. .	208,504

Jeżeli do tego dodamy, iż przypływ do Francyi przewyższa odpływ o 40 tys. osób rocznie, to cały przyrost za ostatnie pięciolecie trzeba będzie przypisać cudzoziemcom, inaczej mówiąc, ludność francuska znajduje się już na punkcie stałym: liczba urodzeń nie przewyższa liczby zgonów, przyczem 80,000 urodzeń należy do „naturalnych“; gdyby Francya skazana była tylko na urodzenia „legalne,“ to ludność jej od dawna już spadałaby z przestraszającą szybkością. Oto jeszcze jedna z „harmonij“ współczesnego ustroju: zjawisko wyklinane ze stanowiska moralności, musi być błogosławione ze stanowiska interesów ojczyzny. Proszę zauważyć, w co się przemieniła słynna teorya Malthusa: fakty nadają jej znaczenie wprost odwrotne od tego, jakie jej on nadał. A obecnie można już śmiało, z zupełną pewnością twierdzić, iż zbyteczny wzrost ludności nie jest przyczyną nędzy, ani też nie unicestwia wpływu reform.

Pierwszy rezultat — nader skromny — starań „Rady wyższej pracy“ złożony został przez ministra handlu J. Roche'a w formie projektu: wypłaty mają się odbywać co dwa tygodnie i koniecznie gotówką; płaca robotnika jest niedostępna dla jego dłużników — przynajmniej w siedmiu dziesiątych częściach — i nareszcie w razie bankructwa patrona robotnicy mają pierwszeństwo w spłacie ich należności przed innymi wierzycielami. Taka jest zawartość projektu. Przyznajmy, iż na pół roku pracy z wielką pompą ogłoszonej „Rady“ jest to bardzo mało. Pomimo to w niektórych departamentach wyrażono zeń niezadowolenie, również jak i z inspektoratu fabrycznego; na ten ostatni państwo będzie musiało nadal łożyć wydatki, gdyż większość rad generalnych stanowczo odmawia.

Nareszcie pod obrady przychodziła jeszcze kwestya zamiany więzień dla dzieci na kolonie rolne. Reforma ta ma na celu zwalczanie recydywy, której już zadało pierwszy cios przeprowadzone niedawno prawo Be-

---

15)

KNUT HAMSUN.

GŁÓD.

Mija parę dni.

Mieszkam w izbie familijnej, ponieważ w przedpokoju niema pieca i skutkiem tego jest za zimno; sypiam na ziemi. Ów świeży gość ciągle jeszcze zajmuje mój pokój; wogóle nie zamierza widocznie wyprowadzić się tak rychło.

Koło południa wchodzi gospodyni i opowiada, że zapłacił jej za miesiąc z góry, że zanim w dalszą puści się podróż, chce najpierw zdać tutaj egzamin sterniczy i dlatego w mieście się zatrzymał. Słyszę to wszystko i pojmuję, że pokój moj straciłem na zawsze.

Wychodzę do przedpokoju i siadam; jeżeli mi się wogole poszczęści, jeżeli wogóle zdołam coś napisać, to chyba tylko tutaj, w spokoju. Alegorya moja już mnie nie zajmuje: mam nową myśl, plan doskonały; chcę stworzyć jednoaktówkę, dramat p. t. „Znak krzyża,“ osnuty na tle średniowiecznem. Najjaśniej w fantazyi mojej rysuje się postać bohaterki. Ma to być wspaniała fanatyczka, ktora dopuszcza się grzechu w świątyni, nie wskutek słabości lub nędzy, lecz nienawiści dla nieba i grzeszy u stóp ołtarza, przejęta dumną pogardą.

Stopniowo coraz więcej zapalam się do tej postaci. Wreszcie widzę ją przed oczami, jakby żywą i taką właśnie, jaką mieć chciałem. Ma być brzydka, odstręczająca, chuda, ciemna, nogi jej długie i przy każdem poruszeniu rysujące się przez szaty; uszy wielkie, odstające. Słowem, dla oka jest wstrętna. Zajmuje mnie w niej najwięcej przedziwny jej bezwstyd, szalona, kolosalna ilość swiadomie popełnianych grzechów. Zajmuje mnie to doprawdy aż na zbyt: mózg mój rozszerza się poprostu pod tchnieniem tej karykatury istoty ludzkiej. Dwie godziny bez przerwy pracuję nad moim dramatem.

Mam dwanaście stronic gotowych; nie obeszło się bez wysiłku, nawet znacznego; pracę kilkakrotnie musiałem przerwać, słowa jakoś się nie kleiły; wtedy darłem arkusze. Wreszcie zmęczony, skostniały z zimna i znużenia wstaję i wychodzę na ulicę. Przez ostatnie poł godziny przeszkadzał mi też krzyk dzieci, hałasujących w sąsiednim pokoju: w żadnym więc razie nie mógłem dalej pisać. Odbywam pieszą przechadzkę przez Drammensvejn, bawię do wieczora, myśląc wciąż o planie mego dramatu. Na drodze do domu spotyka mnie następujący wypadek.

Stoję przed jakimś sklepem szewckim na samym końcu ulicy Karola Jana, prawie przy placu kolejowym. Bóg raczy wiedzieć, dlaczego właśnie przed tym stanąłem sklepem. Przyglądam się wystawie, nie myśląc jednakże zupełnie o tem, że i mnie przydałoby się obuwie; myśl moja buja daleko, w zupełnie innych sferach. Po za mną przechodzi gwarna gromadka ludzi, lecz nie słyszę, o czem mówią. Wtem wita mnie ktoś donośnym głosem:

— Dobry wieczór!

Wita mnie „panienka.“

— Dobry wieczór! — odpowiem bezmyślnie.

Poznaję go dopiero po chwili.

— Jakże tam? — pyta.

— Dobrze... jak zwykle!

— Co to chciałem powiedzieć... a, więc ciągle jeszcze pracujesz pan u Christiego?

— U Christiego?

— Mówiłeś pan kiedyś, jeżeli się nie mylę, że jesteś buchhalterem firmy handlowej Christi?

— Ach, tak!.. O nie, teraz już nie. Nie mogłem tam wytrzymać: rozeszliśmy się po bardzo krótkim czasie!

— Dlaczego?

— Ach, zdarzyło mi się, że napisałem coś fałszywie...

— Pan sfałszował?..

— Sfałszował?

Stoi i pyta mnie, czy popełniłem fałszerstwo! Pyta ciekawie, z zajęciem. Boleśnie tem dotknięty, patrzę na niego i nie odpowiadam.

rengera: zaoszczędza ono karę młodym występcom, którzy poraz pierwszy stają przed kratkami, zwiększa ją natomiast, jeżeli powtórnie są złapani. Wszystkie sądy zastosowują je obecnie masami we Francyi i z wielkiem powodzeniem. Jeszcze ważniejszym krokiem w walce z recydywą będzie zniesienie domów poprawczych. Obecny system celkowy ulega powszechnej i surowej krytyce. Kilkunastoletnie, a często i kilkuletnie (7, 8) dzieci zamknięte zostają w celkach, pozbawione ruchu, powietrza i spędziwszy w ten sposób po kilka lat, stają się dopiero prawdziwemi ofiarami zbrodni i kodeksu. Rzadko kiedy wychowańcy domów poprawczych we Francyi wychodzą poprawieni. Trybunały sprawdzają tę banalną już prawdę codzienną praktyką. Zastąpić ciemne i smutne więzienie przez kolonie rolne, w których praca na wolnem powietrzu zaoszczędzi dzieciom skutki ciszy i samotności — reforma taka może być nader zbawienną. Ale departamenty, od których ona w znacznym stopniu zależy, ociągają się z jej przeprowadzeniem. Tylko Rada dep. Sekwany na wymowne przedstawienie rajcy, p. Lucipia przychylnie ją przyjęła.

Taki jest bilans głównych prac sesyi tegorocznej. Nie charakteryzuje on rad departamentalnych zbytnią postępowością, przeciwnie są to, jak powszechnie wiadomo, najmocniejsze fortece francuskiej reakcyi i dlatego parlament mógł się słusznie ociągać z rozszerzeniem ich praw. Jeżeli nawet obecnie większość Rad przystąpi do Rzeczypospolitej, to nie przestaną one być gniazdami społecznego wstecznictwa. Wszelkie próby decentralizacyi, które prawdopodobnie wkrótce obecną zmianą polityki konserwatywnej wywołane zostaną, będą miały na celu wstecznictwu temu ułatwić zadanie.

L. W.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Z dwu stron jednocześnie wzięto się do spłoszenia z piersi Europy zmory obaw wojennych. Tegoż samego dnia, o tej samej godzinie, kanclerz niemiecki w Osnabrücku i francuski minister spraw zewnętrznych w Bapaume wystąpili przed gronem słuchaczów z różdżkami pokoju. Caprivi oświadczył nawet dwukrotnie, że w tej chwili nie widzi na widnokręgu politycznym ani jednej chmurki. Pogoda panuje zupełna, zadowolenie niezmącone. W znacznej mierze chciał on uciszyć gwar prasy niemieckiej, która od kilku tygodni alarmowała świat postrachami, a z powodu zamierzonej pożyczki Rosyi przy pomocy syndykatu francuskiego prowadziła przeciw niej systematyczne podjazdy.

Minister francuski odśpiewał również hymn na cześć pokoju i Francyi. Według niego, dzięki nowym związkom i przyjaznym stosunkom, odzyskała ona znaczenie i wysokie stanowisko w rzędzie mocarstw, a nadewszystko świadomość swej mocy, która jej pozwala czuć się ubezpieczoną od wszelkich wypadków. Wspomniał przytem o serdecznem przyjęciu eskadry francuskiej w Kronsztadzie i Porthsmucie.

Składając te zapewnienia, Ribot nie mógł wiedzieć jeszcze o jednym wypadku, który nastąpił później, a który uwolnił Francyę od sprawcy tylu zaburzeń wewnętrznych. Boulanger wystrzałem z rewolweru odebrał sobie życie na grobie kochanki w Brukseli. Śmierć, a zwłaszcza śmierć dobrowolna przejednywa nas dla ludzi i rozgrzesza ich z przewinień. Niewątpliwie zmarły sprawił swej ojczyznie wiele utrapień i szkód, ale kto wie, czy ścisły rachunek nie przypisałby wielu jego błędów całemu narodowi. Wszyscy, którzy go poznali, twierdzą, że był ograniczony, próżny, ambitny, szukający rozgłosu za wszelką cenę, lekkomyślny aż do występku. Czy jednakże miękki i kruchy korek sam powinien odpowiadać za to, że go woda na wierzch wyrzuca i na falach unosi? Nigdzie łatwiej, niż we Francyi, nie wypływają takie korki. Tam rodzą się kilkodniowi lub kilkoletni bohaterowie bez żadnych uzdolnień i zasług bohaterskich, tam kaprys tłumu stawia na piedestałach ludzi małej miary, tam przypina on im skrzydła blagi, któremi szybują pod niebiosy. Boulanger ze wszystkiemi swojemi wadami byłby w Anglii lub w Niemczech najzwyklejszym człowiekiem, robiącym naokoło siebie wrzawę co najwyżej w zakresie niewielkiego grona znajomych. We Francyi wyrósł na olbrzyma, który przez kilka miesięcy cieniem swoim pokrywał kraj cały. Wichrzył, podszrubowywał się reklamą, prawda; czemuż jednak gromadziły się pod jego komendą liczne zastępy, które przysięgały na swego „dyktatora“?

Łatwo zrozumieć, dlaczego własną ręką przeciął pasmo swego życia. Widział już jasno, że „piękne dni Aranjuezu“ bezpowrotnie dla niego minęły, że już żadnej roli, prócz celu pośmiewiska, nie odegra. Gdy zaś stracił kobietę, którą może kochał, a której zawdzięczał i swoje środki agitacyjne, i kupionych za nie popleczników, i dostatki życia, roztrzaskał sobie głowę na jej grobie.

„Zwycięzcy — powiada trafnie jedna z gazet niemieckich — wystawili bramy tryumfalne zwyciężonemu.“ Rzeczywiście, zwycięzcami mogą się nazwać młodoczesi, zwyciężonym jest cesarz Franciszek Józef, któremu zgotowali uroczyste przyjęcie w Pradze. Monarcha austryacki, oprócz lekkiego wspomnienia co do przeszłości, wogóle występował pojednawczo. Widocznie chciał on osobistym wpływem i urokiem oddziałać na przeciwników ugody czesko-niemieckiej, ażeby nie targali jej dalszym oporem i doprowadzili do skutku. Czy tej magnetyzacyi ulegli wojownicy z pod chorągwi p. E. Gregra? Wątpimy. Zanadto oni są już dziś pchani naprzód siłą tej masy, którą zgromadzili i wiodą, ażeby mogli cofnąć się, a nawet zatrzymać na miejscu.

Kardynałom coraz bliżej nasuwa się myśl o potrzebie upatrzenia nowego papieża. Życie Leona XIII dopala się ostatnimi płomykami. Słabe zdrowie wyczerpało się uciążliwem przyjęciem pielgrzymów francuskich. Według doniesień z Watykanu, papież omdlewał ustawicznie, a chwilami wyglądał jak martwy.

Pomimo zaprzeczeń z Konstantynopola, ks. Ferdynand kazał podobno bić monetę bulgarską ze swoim wizerunkiem. Znaczyłoby, że albo otrzymał tajemne zezwolenie Porty, albo nie zwraca uwagi na jej zakaz.

SPRAWY EKONOMICZNE.

KOOPERACYA W ANGLII.

II.

Natomiast inna forma kooperacyi: towarzystwa spożywcze wykazały daleko większą praktyczność. Idea, zrodzona przez

---

— No, no, zdarza się to przecież i najzacniejszym ludziom! — rzeknie, oczywiście, aby mnie pocieszyć. Wciąż mniema, że popełniłem jakieś fałszerstwo...

— Co znaczy: „no, no, zdarza się to przecież i najzacniejszym!“ — pytam. Co się zdarza? Fałszerstwo? Co, dobrodziej myśli, że ja istotnie jestem zdolny dopuścić się takiej podłości? Ja?

— Ależ panie, sądziłem... mówił pan...

— Nie, ja mówiłem, żem raz fałszywie coś napisał: omyliłem się w dacie, taka drobnostka, jeżeli koniecznie prawdę chce pan wiedzieć: mylne poruszenie piórem — oto całe moje wykroczenie! Chyba, dzięki Bogu, wiem jeszcze, co słuszne, a co niesłuszne! Coby się ze mną stało, gdybym dzisiaj honor mój splamił? Podtrzymuje mnie dziś jedynie poczucie godności własnej! Ale uczucie to silne! Dotychczas przynajmniej ono to stanowi dla mnie opokę!

Odrzucam głowę w tył, odwracam się od „panienki“ i spoglądam w dół ulicy. Spojrzenie moje pada na czerwoną suknię, która właśnie ku nam się zbliża: jakaś postać kobieca, z nią mężczyzna. Gdyby nie rozmowa powyższa z „panienką,“ gdyby nie jego podejrzenie i uraza, jaką za nie doń powziąłem, nie byłbym się odwrócił, nie odrzuciłbym głowy w tył, a co zatem idzie, czerwonej tej sukni prawdopodobnie nie byłbym spostrzegł. Bo i cóż w gruncie rzeczy suknia ta obchodzić mnie mogła? Cóż mnie obchodzić mogła nawet w tym razie, gdyby była własnością panny Nagel, damy dworu?

„Panienka“ stoi, mówi, stara się błąd swój naprawić: ja nawet nie słucham: nieruchomym wzrokiem patrzę w czerwoną suknię, która coraz bardziej się zbliża. Drżenie przejmuje pierś moją, czuję lekkie, przelotne ukłucie! W duchu szepczę, nie poruszając nawet ustami.

— Ylajali!

Teraz i „panienka“ odwraca się: spostrzegłszy nadchodzących panią i pana, kłania i śledzi za nimi okiem. Ja nie kłaniam się, a może ukłoniłem się — bezwiednie. Czerwona suknia oddala się ulicą Karola Jana i znika.

— Kto ten pan, który z nią szedł?— pyta „panienka.“

— To „książę.“ Czyż pan nie widziałeś? Zowią go „księciem.“ Znasz pan tę panią?

— Tak, z widzenia — a pan?

— Nie.

— A jednak złożyłeś pan ukłon tak głęboki?..

— Ja?

— Ha, ha... może nie? — zawoła „panienka. A ona przez cały czas tylko w pana się patrzała!

— Skąd ją pan znasz? — pytam.

Właściwie mówiąc, nie zna jej wcale. Niby-znajomość datuje się od pewnego wieczora, w jesieni. Było późno; on i jeszcze dwaj inni — wesoła trójka — wracali z wybrzeża; spotkali właśnie damę tę, samą, na Cammermeyer i zaczepili ją. Najpierw ofuknęła się odpornie; lecz jeden z towarzyszów, człowiek, który nie zlęknie się ani wody, ani ognia, poprosił ją wprost, ażeby nie odmówiła mu rozkoszy, jakiej ludziom użycza cywilizacya i pozwoliła odprowadzić się do domu. Bogiem się świadczył, że włos z główki jej nie spadnie, jak to napisano; odprowadzi ją tylko do bramy, bo chce być pewnym, że zaszła do domu bezpiecznie: w przeciwnym razie nie miałby spokoju przez noc całą... Plótł tak bez tchu, piąte przez dziesiąte, przedstawiał się jako Waldemar Altergad, fotograf. Chłód jej nie odstraszył go, w końcu udało mu się rozśmieszyć ją; skończyło się na tem, że odprowadził ją do domu.

— No, i cóż dalej? — pytam, wstrzymując oddech.

— Co dalej? O, *to* nie! To przecież dama z towarzystwa!

Przez chwilę milczymy.

— Więc to był „książę“! Tak więc ten „książę“ wygląda! — rzeknie jakby w zamyśleniu. Jeżeli ona z tym przestaje człowiekiem, to za nic już nie ręczę!

A ja milczę. Naturalnie „książę“ uprowadzi ją stąd! Dla mnie!? Cóż mnie to obchodzi? Nie dbam o nią, ani o jej wdzięki! Staram się szukać pociechy w tem, że maluję ją sobie w barwach najciemniejszych; im więcej nurzam ją w błocie, tem większe uczuwam zadowolenie. Gniewa mnie tylko,

owenistów, okazała się nader żywotną, zwłaszcza w drugiej połowie obecnego stulecia. Jest to rzeczą zrozumiałą. Naprzód stowarzyszenie spożywcze nie ulega fatalnym następstwom rynku i nie potrzebuje wyrzucać swoich członków, powtóre wymaga ono małych kapitałów na początek. Z drobnego też zarodku w Rochdale wyrosły do olbrzymiej potęgi. Ruch ten musiał początkowo walczyć silnie z brakiem odpowiednich norm prawnych. Był on w pierwszym okresie wciąż na łasce swoich urzędników, którzy mogli wtedy okradać kasę kooperacyjną bez żadnej odpowiedzialności. W 1862 reformy w prawie obowiązującem zniosły tę przeszkodę. Nastaje silny rozwój kooperacyi spożywczej. R. 1864 w Manchesterze ukazuje się t. zw. Wholesale Society, stawiając sobie za cel pośredniczenie pomiędzy towarzystwami spożywczemi a wytwórcami. Jest to wprost agentura centralna towarzystw angielskich. Dzisiaj zeœrodkowała ona 883 pojedynczych towarzystw z 934,996 kapitałów stowarzyszonych, jej kapitał obrotowy roczny wynosi z górą 500 mil. franków. O rozmiarach obrotu dadzą pojęcie następujące cyfry: w 1888 sprzedano masła za 33 mil. franków, cukru za 23, sera za 5, szynki niemal za 10, owoców suchych za 3½, herbaty za 11 itd. Agentura manczesterska posiada własne statki i agentów w Hamburgu, Kopenhadze; wyrabia na własne spożycie obuwie, bieliznę, biszkopty, konfitury, mydło; jej składy w Manczesterze zajmują cały czworobok ulic. W kilka lat poźniej za tym przykładem poszły stowarzyszenia spożywcze szkockie zakładając Scottish cooperative Society. Dzisiaj (w 1888) należy tutaj 242 towarzystw pojedynczych z 120.851 kapitałami stowarzyszonymi. Związek szkocki, podobnie jak manczesterski zajmuje się też produkcyą niektórych przedmiotów. W 1869 r. zwołany został kongres spożywczy do Londynu, odtąd zjazdy te powtarzają się corocznie podczas Zielonych świątek, w 1889 zaś dały pobudkę do międzynarodowych, z których pierwszy odbył się w Paryżu podczas wystawy powszechnej. Na zjeździe w 1870 powołano do życia t. zw. Central Cooperative Board, będący centralnym komitetem kooperacyjnego związku W. Brytanii. Do 1889 przystąpiło do niego 817 towarzystw z 770,000 członków. Związek rozpada się na 6 okręgów, każdy okrąg ma swój własny wybierany komitet, z którego jeden przedstawiciel wchodzi do zarządu w Central Board. W gruncie rzeczy jest to już organizacya, zajmująca się propagandą zasad kooperacyjnych. Według statutów dąży ona do zachowania w interesach miejsca dla honoru, sprawiedliwości i ekonomii, usunięcia oszustw, pogodzenia sprzecznych interesów pryncypała i robotnika, kupca i nabywcy. W 1871 r. przy tym centralnym komitecie powstał organ *Cooperative News* celem propagowania idei kooperacyjnej. Jest on dzisiaj własnością 274 towarzystw i drukuje się w 34 tys. egzemplarzy. Wraz z tem wyłania on zamiary zamienienia całej Anglii w jedno towarzystwo spożywcze, wytwarzające wszystko na swoje potrzeby we własnych warsztatach. Dzisiejsi posiadacze prywatni zamieniliby się w akcyonaryuszów spożywczych, posiadających liczbę akcyj odpowiednią dzisiejszemu swemu majątkowi i pobierających za to pewien procent nizki, lecz mających prawo jednego tylko głosu przy rozstrzyganiu spraw. Reszta dochodu szłaby na cele ogólne, jak dzisiaj idzie na czytelnie, kluby, kursy lub zabawy dla stowarzyszonych. Jak widzimy, plany są nader szerokie i przytem nie nadwyrężając interesów kapitalistów, jednocześnie ofiarują uśmiech każdemu innemu. Kooperatyści przypominają słowa Milla. „Jest rzeczą możliwą, iż przy pomocy kooperacyi znajdziemy i to w czasie mniej oddalonym, niż się powszechnie mniema, środek dojścia do zmian społecznych, które połączą swobodę i niezależność jednostki z korzyściami moralnemi, umysłowemi i ekonomicznemi produkcyi zbiorowej. Bez gwałtów, nawet bez nagłych wstrząśnień w istniejących zwyczajach najlepsze zamiary ducha demokratycznego zostaną urzeczywistnione.“

Niestety jednak, nie wszystko, co jest złotem w teoryi, jest niem w praktyce. Podobnie dzieje się ze stowarzyszeniami spożywczemi. Należy odróżnić ideały kierowników od ideałów tłuszczy. Ostatnia idzie za pierwszymi, póki ci działają na korzyść jej interesów, lecz odsuwa się od nich, kiedy trzeba coś dołożyć ze swej kieszeni. Między innemi widzimy to w angielskiej kooperacyi spożywczej. Na kongresie w Leicesterze 1877 toczyły się gorące rozprawy, czy należy z oficyalistami związku postępować lepiej, niż czynią to zwykli przedsiębiorcy. Wypowiedziano wtedy życzenie, aby przypuszczać ich do udziałów i dywidend. Wielkie ogniska przemysłu trzymają się ponieką tego wzoru, lecz różne Kiernozie i Lubartowy angielskie nie chcą ani słyszeć o takiej zasadzie udziałowej. Sami wodzowie, jak ironicznie zauważa Bernstein, skostnieli w swych zapatrywaniach, zamiast ludźmi szerokiego czynu, stali się szczególnego rodzaju formułkowiczami, gwarzącymi o entuzyazmie i szukającymi alchemicznego proszku społecznego: zamienienia wszelkiego błota na złoto, wszelkiego dyabła na anioła. Najważniejsza jednak rzecz, iż owe angielskie kooperacye są dalekie od ducha demokratycznego. Stare Trade-uniony nazwano warownią arystokracyi zawodowo-robotniczej. Wydzielmy z pośród tej arystokracyi jeszcze grona najarystokratyczniejsze, dołączmy do niej drobnych oficyalistów, nauczycieli, kamieniczników i kapitalistów, a otrzymamy warstwę, która bierze udział w ruchu kooperacyjnym. Jeżeli fachowe trade-uniony zdołały dojść do tak wrogiego stanowiska względem niefachowców, jak to się nieraz zdarzało w dziejach Anglii, cóż dopiero mówić o kooperacyi? Jest ona z jednej strony miejscem ulokowania oszczędności fachowców, nader pewnem i zyskownem, a z drugiej narzędziem wyzysku względem niefachowców w pewnej granicy. Lecz kiedy trade-uniony z czasem muszą zmienić swoją taktykę, kooperacya, jako organizacya drobnych kapitałów, trwalej będzie trzymała się swego charakteru. Będzie ona warownią wstecznej fachowości. Może mieć jakieś znaczenie jako szkoła pedagogiczna samorządu, lecz tylko wtedy, gdy stanie się jak w Belgii dodatkiem trzeciorzędnym, nie wyżej, świadomego ruchu politycznoklasowego. Lecz w tym razie czeka ją długa walka ze wszystkiemi tradycyami swojego rozwoju.

Schulze-Gävernitz czerpie dowody z ruchu kooperacyjnego przeciwko prawu żelaznemu Ricarda, to jest że mimo ich rozpanoszenia się płaca nie spadła. Jak zwykle, ślizga się on po powierzchni. Prawo żelazne obowiązuje niefachowców, którzy nadto nie zostali zorganizowani; tych zaś fachowców, którzy są związani w całej swojej pełni przez organizacyę trades-unionistyczną, oraz umieli ograniczyć liczbę swoją, ono zgoła się nie tyczy. Brak tu wolnej konkurencyi, tego zasadniczego warunku dla prawa żelaznego. A właśnie tacy fachowcy uprzywilejowani stanowią zastęp

---

żom zdjął przed nimi kapelusz, *jeżeli* istotnie go zdjąłem. Po co kłaniać się takim ludziom. Nic sobie z niej nie robię, nic; nie jest już ani nawet trochę ładna, sprzedała się, fe, przekwitła! Być może, że tylko we mnie patrzyła; to mnie nie dziwi, może budzi się w niej teraz skrucha! Ale dlatego nie jestem jeszcze obowiązany padać przed nią na kolana, kłaniać się jej, jak głupi, zwłaszcza, że w ostatnim czasie tak zwiędła. Niech ją sobie „książę“ zatrzyma! Smacznego! Przyjdzie dzień, kiedy ominę ją z głową podniesioną, nie zaszczycając jej nawet spojrzeniem! Być może, że postąpię tak nawet wtedy, gdy ona wzrok we mnie utkwi, a nadto nosić będzie suknię jak krew czerwoną! Ha, ha! To dopiero tryumf! O ile siebie znam, w przeciągu jednej nocy mogę dramat mój ukończyć, a potem, zanim osiem dni minie, pani leżeć będzie u nóg moich, razem ze swoimi wdziękami, ha, ha, razem ze wszystkimi swoimi wdziękami...

— Adieu! — rzeknę krótko.

Lecz „panienka“ wstrzymuje mnie i pyta:

— Czemże się pan teraz zajmuje?

— Czem się zajmuję? Literaturą—rzecz prosta! Czemże się mam zajmować? Z tego przecież żyję! Na razie pracuję nad wielkim dramatem — „Znak krzyża“ — temat średniowieczny!

— A to dopiero! — zawoła „panienka.“ W głosie słyszę dźwięk szczery. No, jeżeli pan z tego coś zrobi...

— O to się nie boję! Za osiem dni usłyszysz pan o mnie wiele!

I odchodzę.

Wróciwszy do domu, natychmiast proszę gospodynię moją o lampę. Zależy mi bardzo na lampie; postanowiłem nie kłaść się tej nocy; dramat mój szalał mi w głowie, nie wątpiłem, że do rana o spory posunę się kawał. Prośbę moją wypowiadam bardzo pokornie, bo zauważyłem, że pani skrzywiła się, kiedy wszedłem do pokoju. Kończę właśnie niezwyczajny dramat — rzeknę; brak mi jeszcze paru scen. Nawiasem zauważam, że nim się obejrzę, dramat ten może ukazać się na deskach teatru. Gdyby chciała mi teraz wyświadczyć tę grzeczność...

Lecz jejmość nie ma lampy. Namyśla się, nie może sobie jednakże przypomnieć, czy lampę kiedykolwiek posiadała. Jeżeli poczekam do dwunastej, to będę mógł wziąć sobie lampkę kuchenną. Czyż nie lepiej kupić świecę?..

Nie odpowiadam. Nie mam dziesięciu oerów na świecę, a o tem ona wie dobrze. Naturalnie znowu jak rozbitek na piasku osiądę... Służąca siedzi w pokoju, nie w kuchni; w kuchni więc lampy nawet nie palą. Miarkuję to, lecz nie nie mówię.

Nagle zwraca się do mnie sługa.

— Zdaje mi się, że pan powraca z zamku? Czy był pan tam na obiedzie?.. I śmieje się głośno z własnego dowcipu.

Siadam, wyjmuję papiery — może uda mi się tutaj coś napisać. Rozkładam arkusze na kolanach, wzrok utkwiłem nieruchomie w podłogę, aby tym chociażby sposobem myśl jakoś skupić; lecz płonna próba — z pisaniem ani rusz! Dwie małe córeczki gospodyni wbiegają do pokoju, igrając z kotem, dziwnym starym kotem, prawie bez szerści; ilekroć dmuchną mu w oczy, z oczu spływa woda, staczając się po nosie. Pan domu z kilku towarzyszami siedzi przy stole i gra w „sto i jeden.“ Jedna tylko pani jak zwykle zajęta jest pracą — szyje. Widzi ona doskonale, że wśród tego gwaru pisać nie mogę, ale nie ją to nie obchodzi; uśmiechnęła się nawet na zapytanie sługi, czy byłem na obiedzie w zamku. Cały dom jest mi wrogo usposobiony. Wstyd, jakim się okryłem, ustępując z musu przed obcym gościem, uprawnia widać tych ludzi do podobnego lekceważenia. Nawet ta sługa, mała ciemnooka ulicznica z płaską piersią, z loczkami na czole śmie naigrawać się ze mnie. Gdy wieczorem podają mi chleb z masłem, pyta znowu, gdzie też spożywam obiad, bo widziała przecież, jak raz szedłem do „Grand.“ Wie o mojej nędzy i pragnie pokazać, że o niej wie; sprawia jej to przyjemność.

Widzę to teraz dopiero, zupełnie nagle— nie jestem w stanie zdobyć się na jedną chociażby myśl do mego dramatu, próbuję wciąż, lecz naprożno; coś mi w głowie brzęczy; poddaję się więc. Chowam papiery do

spożywczo-kooperacyjny w Anglii. Zresztą ogrodzili się jednem mądrem rozporządzeniem — towarzystwa kooperacyjne nie sprzedają taniej, niż sklepy prywatne, lecz za to dają przedmiot w dobrym gatunku. To jedno miejsce ze statutu winno było ostrzedz p. Gavernitza i powstrzymać go od wniosków. Natomiast w Belgii, gdzie zbywa na takiej organizacyi, stowarzyszenia spożywcze wywarły inny skutek. Domela Nieweuhuis opowiada, iż przemysłowcy środkowego okręgu w Belgii odmówili podwyższenia płacy, na tej zasadzie, że liczne rozgałęzione towarzystwa utaniły środki spożywcze...

K. R. Żywicki.

WYSTAWA W WILNIE.

W ubiegłym tygodniu zamknięto w Wilnie wystawę przemysłowo - gospodarczą. Jak zwykle, górował sport wielkopański, a podrzędniejsze miejsce zajmowały wszelkie gałęzie produkcyi przemysłowej. W dziale okazów magnackich uderza charakterystyczny szczegół: coraz mniej koni powozowych, a natomiast coraz więcej wierzchowych. Robocze szlacheckie nikną wśród okazów sportowych, zaś włościańskie, jako rasy „nieczystej,“ ażeby nie psuły ogólnej harmonii, zwykle nie przekraczają bram wystawowych, chociaż należą do popisu; przeznaczono dla nich skromne miejsce na przedmieściu Łukiszki. W tym roku, czy to skutkiem takiego lekceważenia, czy też z braku rozpowszechnienia śród ludu wiadomości o wystawie i zachęty, dostało się na plac Łukiszek, tj. do przedsionku wystawowego, tylko przypadkowo 29 koni włościańskich, z których jednak sędziowie nagrodzili 16 (największa 50 rs., najmniejsza 10). Wogóle udział włościan w wystawie jest właściwie *przypadkowy*. Ktoś ze szlachty dowiedziawszy się, że tu i owdzie wyrabiają tkaniny, że jakiś chłop zrobił pantofle drewniane — wysyła te skromne i pierwotne okazy na wystawę. Nie dają one całkowitego pojęcia o drobnym przemyśle włościańskim, który szczególnie w okolicach odległych od rynków jarmarcznych służy do użytku wyłącznie domowego. W okolicach ludniejszych, w pobliżu kolei żelaznych i rynków ruchliwszych, wyroby chłopskie zajmują skromne miejsce w ogólnej wymianie i dają wytwórcom nędzny zarobek, dla kupienia jakiejś tandety na rynku. Chłop w guberniach litewskich lekceważąco traktuje rękodzielnictwo i nie bierze się do niego w zamiarze powiększenia swych dochodów. Ma on stosunkowo więcej roli i łąk, niż lud w innych guberniach, zresztą wolne chwile zużywa na zarobki, a jeżeli cierpi biedę, to często dlatego, że prowadzi gospodarkę w sposób najpierwotniejszy. O podniesieniu rasy bydła, koni i trzody chlewnej, o użyciu udoskonalonych narzędzi rolniczych, pszczelnictwie, jedwabnictwie i ogrodownictwie niema mowy. Jeżeli wystawa ma na celu między innemi popieranie rozwoju ekonomicznego ludu, to powinna zamiast przyjmowania sandałów i tkanin, przysyłanych przez przygodnych protektorów, zwrócić uwagę na powyższe ważne czynniki podniesienia dobrobytu. Tymczasem dążności tej nie widzimy wcale, a działy wymienione na wystawie tegorocznej były najsłabiej zaopatrzone, nawet przez większych rolników i przedsiębiorców. Jeden wystawił okazy jedwabnictwa, traktowanego z amatorstwa, drugi kolekcyę owoców, ktoś znowu chmiel, inny pierniki i na tem koniec. Dział gospodarstwa kobiecego również dość słabo był reprezentowany (pomimo uczestnictwa 38 kobiet). Nawet te gospodynie, które wyrobiły sobie już pewną sławę produkcyi serów, nie wzięły udziału. Trochę lepiej się przedstawia hodowla bydła, szczególnie rasy holenderskiej, tudzież owiec „negretti.“ Ale i to były okazy, dostarczone przez wielkich posiadaczy ziemskich, których gospodarka postępowa nie ma nic wspólnego z ogólnym rozwojem wytwórczości rolnej. Zasobni gospodarze nie żałują środków na wszelkie ulepszenia, na hodowlę rzadkich gatunków bydła i koni „półkrwi“ arabskiej. Większość właścicieli ziemskich poprzestaje na lichych pospolitych gatunkach inwentarza żywego i na pierwotnych środkach produkcyi.

Cztery rozległe gubernie (wileńska, kowieńska, mińska i grodzieńska) wzięły udział w wystawie. Należałoby oczekiwać, iż wszystkie działy przemysłu rolnego, fabrycznego i rzemiosł dadzą dokładne pojęcie o ich rozwoju na owej znacznej przestrzeni. Tymczasem pomimo iż wystawa tegoroczna wogóle przedstawiała się „imponująco,“ jak zapewniają korespondenci, miała ona przeważnie charakter popisu bogatych amatorów-hodowców, wystawiających oprócz koni i bydła, różne rasy psów. Jednocześnie z pojedynczych próbek dała świadectwo o zupełnem zaniedbaniu chmielarstwa (z wyjątkiem paru miejscowości), ogrodnictwa, pszczelnictwa, słabym rozwoju (dla handlu) produkcyi nabiałowej.

Rzemiosło, z wyjątkiem niektórych robót stolarskich, przedstawia się również dość mizernie. Wszystko to wyroby samouctwa, chociaż sumienne, ale pierwotne, nie mogące sprostać rozwijającemu się wymaganiu i smakowi ogółu spożywców. To, co na rynkach wielkomiejskich leży w głębokiem już ukryciu, lub poszło do składów tandety dla spożywców niewybrednych, tam rzemieślnicy wyrabiają dotychczas, nie troszcząc się o wzory nowe i usiłując współzawodniczyć z produkcyą wielkofabryczną. Zwróćmy na to uwagę, że przedmioty umieszczone na wystawie są owocem staranności i wysiłku wytwórców; w chwilach powszednich rynki miast i miasteczek prowincyonalnych zapełnione są wyrobami lichymi. Możeby ten stan rzeczy cokolwiek się zmienił, gdyby prowincye, o których mówimy posiadały szkoły rzemiosł i wogóle średnie zakłady fachowe. Mamy przykład: uczniowie niższej szkoły rolniczej w Maryengórce (gub. mińska) wystawiły zupełnie zadawalające roboty swoje, jak centryfugi, separator do wydzielania śmietanki, do lodów, do bicia masła systemu Leffla, Favorite i innych.

Przemysł wielki z obrębu prowincyj Północno-Zachodnich uczestniczył w wystawie wileńskiej po za konkursem. Między innemi: narzędzia i maszyny rolnicze wystawione przez Antoniego hr. Tyszkiewicza, tudzież ołówki fabryki wileńskiej, jedynej w kraju. Również do działu pozakonkursowego należą wystawcy z Królestwa. Wybitniejsze miejsce zajęli: pp. Edmund Jankowski (owoce). Bobrowski z gub. lubelskiej wystawił 70 sztuk nierogacizny rasy „Lincoln,“ Cegielski (maszyny i narzędzia rolnicze) i wielu innych. Nagrody rozdano obfite, naturalnie najwyższe (medale złote i srebrne) otrzymały konie wierzchowe. Właściciele innych okazów—medale bronzowe, „listy pochwalne“ i „podziękowania piśmienne.“ Tego rodzaju przynęta widocznie nie wszystkich pociąga, skoro poczet wystawców w stosunku do obszaru prowincyj nie był zbyt liczny, a najmniej reprezentowany przez rolników, pomimo cha-

---

kieszeni. Przede mną siedzi służąca; przyglądam jej się, widzę jej wązkie plecy, nizkie, nieuformowane nawet jeszcze ramiona. Jakiem prawem *ta* mnie wyszydza? A jeżeli wracam właśnie z zamku, to co? Czy jej to szkodzi? Ostatnimi dniami bezustannie zuchwale się ze mnie śmiała; śmiała się, ilekroć nieszczęście chciało, że pośliznąłem się na schodach lub nieumyślnie surdutem o gwóźdź zaczepiłem. Dopiero wczoraj zebrała rozdarte arkusze, mieszczące szkic mego dramatu, skradła owe podarte urywki i wszystkim jęła je na głos czytać, aby tym sposobem pokpić sobie ze mnie trochę. Ja zaś nigdy jej nie obraziłem, nie przypominam sobie nawet, czy kiedykolwiek o jaką prosiłem ją usługę. Przeciwnie, wieczorem sam słałem sobie łóżko, byle jej oszczędzić trudu. Naśmiewała się też z tego, że włosy tracę. Rano znajdowała zwykle w miednicy włosy i śmiała się. Buty moje podarły się, szczególnie ten jeden, przez który podówczas z chlebem wóz przejechał; i na ten temat kpiła co niemiara. „Boże mój, zlituj się nad panem i nad temi butami! — mawiała zwykle. Patrz pan, takie one ogromne, niby psie budy.“ Miała słuszność; lecz w danej chwili nie mogłem sobie przecież sprawić nowych...

W myśli z wszystkiego tego zdaję sobie sprawę i dziwię się tej oczywistej złości ludzkiej. Tymczasem w kącie na łóżku dzieci zaczynają męczyć dziadka; obie dziewczynki skaczą koło niego, całą duszą zajęte są tą igraszką. Każda z nich trzyma słomkę i kłuje nią staruszka w uszy. Jakiś czas przyglądam się, nic nie mówiąc. Stary palcem nie kiwnie w swojej obronie; patrzy na męczycielki wściekłem spojrzeniem i potrząsa głową, aby oswobodzić się od słomek, kiedy te już w uszach mu utkwią.

Widok ten irytuje mnie coraz bardziej, a jednak oczu odwrócić nie mogę. Ojciec z poza kart zerka na dzieci i śmieje się; zwraca nawet uwagę grających na powyższy obrazek. Dlaczegóż się ten stary nie ruszy? Dlaczego nie odepchnie dzieci. Czynię krok ku łóżku.

— Daj pan spokój! Daj pan spokój! — woła gospodarz. — On jest kulawy!

Zdjęty obawą, że w nocy jeszcze drzwi wskazać mi mogą, bojąc się poprostu, że wzbudzę niezadowolenie pana, wracam w milczeniu na miejsce i zachowuję się spokojnie. Pocóż ryzykować dach nad głową i chleb z masłem, poco wtykać nos w czyjeś sprawy rodzinne? Proszę, tylko żadnych głupstw dla jakiegoś tam starca, który i tak jedną nogą na tamtym jest świecie. Czuję w sercu taką miłą twardość, czuję coś, niby kamień...

Nieznośne dzieciaki nie przestają dokuczać staremu. Gniewa je, że dziadek nie chce głowy trzymać spokojnie: kłują go w oczy i w nos. On patrzy na nie wzrokiem, nienawiści pełnym; nic jednak nie mówi, rękami ruszać nie może. Nagle podnosi się trochę górną połową ciała i jednej z dziewcząt pluje w twarz; potem podnosi się powtórnie i spluwa na drugą, ale tym razem — chybia. Gospodarz rzuca karty na stół i przybiega do łóżka. Czerwony z gniewu, krzyczy:

— Co? Będziesz dzieciom pluł w twarz? Ty stara świnio!

— Ależ na Boga, toż one jemu spokoju nie dały! — zawołam, nie mogąc dłużej już nad sobą panować.

Boję się, że mnie wyrzucą, niebardzo przeto głos podnoszę; ze wzburzenia drżę jednak na całem ciele.

Gospodarz zwraca się do mnie.

— A to co? Patrzcie go! Cóż to pana obchodzi. Niech pan będzie łaskaw nie wtrącać się i... postąpi wedle mojej rady... to najlepsze dla pana.

Teraz i jejmość głos zabiera. Krzyk rozlega się w całym domu.

— Na miłość Boga, obaj zwaryowaliście, czy co? — wrzaśnie. Jeżeli chcecie zostać w pokoju, to zachowujcie się, jak przystoi, radzę. Niedosyć, że się tej hołocie daje wikt i stancyę, nie dosyć, za to ma się jeszcze kłótnie, wrzaski, sądny dzień! Co do tego — wara! Szt! Stulić gęby, smarkacze! Utrzeć usta, bo jeżeli nie, to ja je wam utrę! Czy kto widział coś podobnego? Wejdzie z ulicy, nie ma nawet szeląga na szarą maść, a w nocy gwałt, hałas w domu jesz-

rakteru wystawy przeważnie „ziemiańskiego.“ Nasuwa to przypuszczenie, iż większość właścicieli ziemskich nie ma czego wystawiać. Ze względu na to, iż znaczny procent wytwórców nie chce lub przez brak ruchliwości nie może porzucić zakrzepłej rutyny, pożądany byłby kierunek wystawy praktyczny w szerszym zakresie, tj. iżby nie była tylko sposobnością do popisów jednostek, lecz służyła do wyrobienia stałego zbytu produktów, starała się ułatwiać nawiązywanie stosunków handlowych, dostarczała rozpłodowców ras wyższych bydła i trzody, udzielała nagrody drobnym hodowcom, jeżeli ma na celu zachętę częściej w gotówce niż medalach lub świstkach papierowych; wreszcie — iżby nie skąpiła wskazówek i rad mniej świadomym. Pod tym względem wielkie mogłyby oddać usługi przystępniejsze dla mas częste wystawy w mniejszych miastach prowincyonalnych, mające łączność z gubernialną. Dziś tylko przypadek ułatwia korzystne tranzakcye na wystawach. Jeżeli nie jest mylne doniesienie *Kuryera warsz.*, właściciele ziemscy licznie zgromadzeni na popisie przemysłowym w Wilnie, otrzymali urzędowo zapytanie, czy gub. wileńska mogłaby po umówionej, dość wysokiej cenie dostarczyć dla gub. wewnętrznych około *miliona* pudów żyta. Podobno rolnicy porozumiawszy się z sobą przyjęli ofertę. Taka stanowczość niebywała w tej klasie ludzi świadczy o pomyślnym zbiorze tegorocznym, wbrew narzekaniom korespondentów.

Z. P.

BADANIA NAUKOWE.

RZUT OKA NA KRAJE BAŁKAŃSKIE I ZNACZENIE CIEŚNIN.

Kraje Bałkańskie, ów „spadek po chorym człowieku,“ budzą jako tak zwana „kwestya wschodnia“ wielki polityczny interes; w nich bowiem spoczywa środek politycznej równowagi państw europejskich tak, iż najdrobniejsze nawet objawy ruchu w tych krajach, najsłabsze zjawisko rozkładu w ciele „chorego człowieka“ napełniają Europę niepokojem i trwogą.

Niemniej niż polityków i politykujących zajmują kraje bałkańskie geografów, a to poczęści dla tego, że stanowią one, szczególniej w swej południowej części (Grecya), wyborną ilustracyę wpływu przyrody na rozwój dziejowy człowieka, poczęści dla tego, że geologiczno-geograficzne stosunki tych krain, najważniejsze dla dzisiejszej geografii umiejętnej, dopiero w ostatnich czasach zostały nieco bliżej zbadane, a jeszcze i dotąd przedstawiają wiele doniosłych kwestyi do rozwiązania. W niniejszym artykule postaramy się więc naszkicować obraz tych krain *a vol d'oiseau* w oświetleniu dzisiejszej geograficznej wiedzy, opierając się na najświeższej pracy wielkiego znawcy krain nadśródziemnomorskich T. Fischera i innych *).

* * *

Trzy wielkie półwyspy, na które rozpada się południowy skraj bogato rozczłonkowanej Europy, są odgrodzone od jej lądowego pnia wysokimi wałami górskimi i zwrócone na południe ku sąsiednim częściom świata starego lądu, których przeciwległe wybrzeża dadzą się dostrzegać gołem okiem. Już w tej geograficznej okoliczności spoczywa powód, dla którego stosunki dziejowe trzech południowych półwyspów z morzem śródziemnem, Afryką i Azyą były prawie ściślejsze, niż z resztą Europy, krainy nadbrzeżne morza śródziemnego najbogatszego w półwyspy i wyspy, ułatwiające komunikacye, były zawsze ściślej zespolone losami z sobą, niż ze swemi częściami świata oddzielonemi przez góry lub pustynie; krainy te stanowiły nawet przez więcej niż dwa tysiącolecia ognisko dziejów świata, ognisko kultury; stanowią one razem oddzielny swoisty świat, przedstawiają we wszystkich głównych cechach swej przyrody podobieństwa między sobą, a kontrasty z odpowiedniemi częściami świata. Najgłówniejszemi częściami składowemi krain nadśródziemnomorskich są trzy południowe półwyspy Europy, a jakkolwiek posiadają one, jak już z powyższego wynika, wiele głównych cech wspólnych w klimacie, florze faunie oraz w uwarunkowanych przez nie objawach życia ludzkiego, to jednak w szczegółach każdy z tych półwyspów posiada właściwe sobie cechy indywidualne, wyrażające się w stosunkach do morza śródziemnego, do przeciwległych wybrzeży, do Europy i do całego globu ziemskiego.

Półwysep Iberyjski ułożył się na wstępie do morza Śródziemnego, jako mało rozwinięta, prawie kwadratowa tafla wyżynowa, której krawędzie mają trudne połączenie i z wnętrzem i między sobą. Geologicznie niedawno „przylutowany“ do lądu Europy i obecnie oddzielony odeń niedostępną ścianą Pirenejów, półwysep ten ma w sobie wiele afrykańskiego i z lądem tym w ścisłych pozostaje stosunkach; położony na końcu morza Śródziemnego ma on dlań jedynie znaczenie pośrednika z północno-zachodnią Europą, a po części i z krajami transatlantyckiemi. Półwysep Italii najmniejszy i najwysmuklejszy z trzech zrasta się z lądem na linii dłuższej, ale jest odeń oddzielony ostro najwynioślejszą w Europie łukowatą ścianą alpejską; w północnej części nosi wprawdzie charakter kontynentalny, ale zresztą z powodu swej wązkości i długości oraz z powodu środkowego położenia jest najściślej przywiązany do morza Śródziemnego, najlepiej uzdolniony do wywierania wpływu na to morze, tworzy on bowiem jakby most przerzucony od Europy do Afryki, dzielący morze Śródziemne na dwa wodozbiory, zachodni i wschodni, panujący nad łączącą je cieśniną sycylijską (kartagińską), zwrócony głównie ku zachodowi, ale i od wschodu mający łatwe stosunki przez swe zbliżenie do półwyspu Bałkańskiego (cieśnina Otranto).

Półwysep Bałkański jednoczy w sobie po części charakterystyczne cechy dwóch poprzednich; jest on półwyspem o silnie zaznaczonym charakterze kontynentalnym (na północy), składa się tak pod względem konfiguracyi brzegów, jak i plastyki powierzchni oraz budowy wewnętrznej z dwóch zupełnie różnych części, z których jedna da się porównać z półwyspem Iberyjskim, druga z Italią. Mianowicie część zachodnia, obszar Iliryjsko-greckich gór fałdowych, odpowiada również fałdowym Apeninom; część wschodnia, obszar poszarpanych masowych gór pierwotnych, odpowiada iberyjskiej wyżynowej tafli (Meseta). Z rozciąganiem południkowem przenoszącem dłu-

*) Th. Fischer: *Der Südosteuropäische (Balkan) Halbinsel* w wydawnictwie Kirchhoffa „Unser Wissen von der Erde“ 1890 i 1891. O. Händler. *Beiträge zur Anthropogeographie der Balkan Halbinsel* w czasopiśmie *Aus allen Welttheilen* 1891.

---

cze robi! Żeby mi tego więcej nie było, czy słyszycie? Zabierać się stąd, wszyscy! U siebie mam chyba jeszcze prawo żądać spokoju!

Nie odpowiadam ani słowa, nawet ust nie otwieram, siadam sobie przy drzwiach i słucham krzyku. Wszyscy wrzeszczą, nawet dzieci, nawet sługa, która chce objaśnić, w jaki sposób sprzeczka się wszczęła. Jeżeli zachowam się spokojnie, wszystko z pewnością wnet się zakończy; nie dojdzie do żadnej ostateczności, jeżeli tylko ja milczeć będę. A i cóż miałbym tu mówić? Czyż na dworze nie zima, czyż nie noc teraz? Czyż to odpowiednia pora na to, aby się hardo stawić, zadzierać nosa? Tylko bez facecyj! Siedzę cicho, nie opuszczam tego progu, nie wstydzę się, że zostaję, nie wstydzę, chociaż prawie drzwi mi wskazano. Ze spojrzeniem utkwionem w obraz Chrystusa, wiszący na ścianie, siedzę i milczę uparcie na wszelkie zarzuty gospodyni.

— Ha, jeżeli pani mnie wyrzuca — zgoda! rzeknie jeden z graczy.

Podnosi się, za nim wstaje i drugi.

— Nie, ciebie nie miałam na myśli, ani ciebie! — jejmość im odpowie. — Jeżeli o to idzie... no chyba... pokaże się, kogo!

Mówi tak urywanemi zdaniami, kluje mnie co chwila, w małych przestankach, przedłuża jakoby te ukłucia, aby dać mi do zrozumienia, że *mnie* właśnie ma na myśli. Cicho! wołam do siebie w duchu, cicho! Nie powiedziała mi wyraźnie, dobitnie, wprost, ażebym poszedł... Precz z wszelką dumą, z fałszywą dumą precz! Trzymaj się ostro!.. Dziwnie zielone włosy ma ten Chrystus na obrazie! Ogromnie przypominają zieloną trawę, albo jeszcze więcej sitowie... Szereg przelotnych skojarzeń myśli przebiega mi w tej chwili przez głowę; zielona trawa naprowadza mnie na wiersz biblijny, opiewający, że życie jest jako trawa, co usycha w polu; stąd schodzę na dzień sądu ostatecznego, kiedy wszystko zginie w płomieniach, stąd zbaczam ku trzęsieniu ziemi w Lizbonie, wreszcie miga mi przed oczami mosiężna spluwaczka hiszpańska i pióro hebanowe, które widziałem u Ylajali... Ach, wszystko jest znikome! Jako ta trawa, co usycha w polu. Koniec wszystkiego — to cztery deski i bielizna pogrzebowa — u panny Andersen, na prawo, w bramie...

W tej jednej nieszczęsnej chwili wszystko to majaczy mi się po głowie.

— Nie słyszy! — woła. Mówię panu, żebyś się wynosił! Może teraz wreszcie pan zrozumiesz. Niech mnie dyabli wezmą, jeżeli to nie waryat! Natychmiast zabierać mi się stąd — basta!

Spoglądam na drzwi, ale zupełnie nie w zamiarze odejścia; w głowie mojej budzi się zuchwała myśl: gdyby tak w zamku klucz siedział, przekręciłbym go, zamknąłbym siebie wraz z nimi, nie musiałbym pójść sobie stąd. Uczuwam hysteryczną trwogę przed ulicą! Ale nie ma klucza. Wstaję. Niema nadziei.

Nagle do krzyku jejmości miesza się głos gospodarza. Zdumiony, zatrzymuję się. Ten sam człowiek, który mi się przed chwilą odgrażał, teraz w mojej staje obronie. Mówi:

— Nie, w nocy ludzi się nie wypędza. Za to jest kara!

Nie wiem, czy istnieje za to jaka kara, nie umiałbym tego powiedzieć; lecz może jest tak istotnie; jejmość namyśla się chwilkę, uspokaja się, poczem zostawia mnie w spokoju. Kładzie nawet przede mną dwie kromki chleba z masłem, lecz ja ich nie jem; nie jem ich z wdzięczności dla gospodarza, zapewniam, że jadłem na mieście.

Kiedy wreszcie wychodzę do przedpokoju, aby udać się na spoczynek, jejmość wtacza się za mną, staje na progu i mówi głośno:

— Śpi pan tutaj po raz ostatni! — proszę o tem pamiętać!

— Tak, tak — odrzeknę.

Jutro przy staraniach znajdzie się rada i nocleg. Kryjówkę jakąś przecież sobie wynajdę. Tymczasem raduję się, że noc jeszcze tu spędzę — nie na dworze...

(D. c. n.).

gość półwyspu Apenińskiego, łączy on rozciąganie równoleżnikowe nie ustępujące Iberyjskiemu. Nazwa półwyspu Bałkańskiego nie jest zupełnie właściwa, polega ona bowiem na dawnem fałszywem wyobrażeniu, jakoby góry Bałkańskie ciągnęły się wpoprzek całego półwyspu z zachodu na wschód od morza do morza, tymczasem systemat ten warunkuje kształt powierzchni tylko w małej części półwyspu; dlatego Fischer nazywa ten półwysep południowo-wschodnio-europejskim, ale nazwa ta, jakkolwiek może właściwsza, jest zbyt niedogodna aby mogła wyprzeć dawniejszą; możemy więc używać tej ostatniej, pamiętając tylko o powyższem zastrzeżeniu co do gór Bałkańskich. Stosunki tego półwyspu z morzem są ściślejsze tylko na wschodzie, a dokładniejsze na południo-wschodzie, podczas gdy część zachodnia, pomimo bliskości brzegów apenińskich, jest odosobniona od morza, stanowi tylną stronę półwyspu. Ponieważ bowiem strona ta nosi wapienny charakter Karstu, którego wody w znacznej części uchodzą kanałami podziemnemi, więc brak tu jest prawie zupełnie dolin poprzecznych (jeden z nielicznych wyjątków stanowi dolina Narenty), ażeby więc dostać się tutaj z wnętrza kraju do morza trzeba przebywać wpoprzek liczne równoległe łańcuchy, między któremi przytem rozciągają się często nagie surowe wyżyny. Toż wpływ morza ogranicza się tutaj do wąskiego rąbka nadbrzeżnego, który nie ma prawie żadnych stosunków z wnętrzem i politycznie jest zwykle odeń niezależny. Dopiero południowa węższa część półwyspu (Grecya) staje się dostępniejszą, ale w każdym razie nie tak jak od strony wschodniej. Podobnież i ku morzu Czarnemu zwrócona strona północnego kontynentalnego trapezu, jakkolwiek nie tak zupełnie zamknięta jak adryacka, nie jest jednak zbyt dogodna dla komunikacyi. Za to jak na północo-zachodzie z lądem Europy tak na południo-wschodzie z morzem półwysep Bałkański może utrzymywać najbardziej ożywione stosunki. Na północo-zachodzie bowiem wody systematu Dunaju prowadzą na ląd Europy na nizinę węgierską, a sam Dunaj dalej do serca Europy środkowej. Z drugiej strony na południo-wschodzie północny trapez kontynentalny wydłuża się półwyspowo: Tracyę dzielą tylko wąskie cieśniny Bosfor i Dardanelle od przeciwległej Azyi Mniejszej; w tym kierunku płyną największe samodzielne rzeki półwyspu (Wardar i Maryca), na ujściach których szerokie niziny przytykają do morza. Podobnież półwyspowo wysuwa się Dobrudża na północo-wschodzie i w tym kierunku zdążają rzeki bałkańskie do Dunaju. Tym sposobem półwysep Bałkański ma i na północo-wschodzie ułatwione stosunki ze wschodnio-europejską niziną przez dolny Dunaj, półwyspowe wysunięcie Dobrudży, otwartą choć na krótkiej przestrzeni linią brzegową czarnomorską i nizinową bramą między Karpatami i morzem Czarnem. Powyższe stosunki odbijają się też we florze i faunie: południowy wschód półwyspu nosi już charakter stepów Anatolii, północny wschód — stepów południowej Rosyi, północo-zachód ze znaczną częścią górzystego wnętrza jest zupełnie środkowo-europejski, tylko Grecya i zachodni rąbek nadbrzeżny jest śródziemnomorski. (D. c. n.)

W. N.

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA NIEMIECKA.

25 września.

Próby stworzenia nowej formy epickiej. — Poemat Briegera „Stirb und Werde.“ — Dwa jubileusze: Hieronim Lorm i Teodor Korner.

Od lat pięćdziesięciu niemal kuszą się niemcy o stworzenie nowej formy epickiej, którąby odpowiadała wymaganiom poezyi nowoczesnej. Widzimy w tym względzie próby najróżnorodniejsze, które tak mało zadawalają rzeszę poetycką, że żadna ogólnem uznaniem się nie cieszy, a usiłowania ponawiają się bezustannie. Jakaż różnica pomiędzy utworami Heysego (Thekla) a Hammerlinga (Ahaswer w Rzymie), Rodowitza (Amaranth) a Lingga (Wędrówka ludów) lub Jordana (Nibelungowie), jakaż różnorodność form w pracach Schacka, Baumbacha, Scheffla, Wolffa, a takiego Juliusza Harta!

Zarzuciwszy dawny wiersz, którym napisano „Nibelungów,“ jako nużący i przestarzały, spróbowano włoskiej oktawy, lecz i tej zaniechano jako strofy cudzoziemskiej. Od tego czasu większość niemieckich poetów epickich posługuje się wierszem mieszanym, stosując do każdego ustępu formę najbardziej rytmem odpowiadającą treści. Trudno uważać ją za ustaloną i przyjętą ostatecznie, gdyż prawdziwa epopeja jej nie zniesie. Że zaś dziś forma ta stała się tak modną, zawdzięczać należy tej głównie okoliczności, iż dzisiejsze poematy epickie w Niemczech mają przeważnie charakter liryczny.

Taką to modną opowieścią jest poemat Adolfa Briegera „Stirb und Werde“ *). Spróbowawszy sił poprzednio na polu epiki w utworze „Król Humbert w Neapolu,“ tym razem Brieger, poeta niezaprzeczonego talentu, pokusił się o romans współczesny, przedstawiający rozwój potężnej namiętności.

Utwór jego składa się z trzech części. Bohaterem jest człowiek światowy, zamożny, pędzący życie przeważnie w podróżach, obdarzony fatalną skłonnością do silnego erotyzmu. Naprzód kocha się w mężatce i przebywa wertherowskie walki między żądzą a obowiązkiem. Przybywszy do Wiednia, zapuszcza się w romans z piękną jakąś hrabiną, która na szczęście nie jest mężatką, lecz wdową. Wychodzi ona za niego i stara się go uszczęśliwić. Lecz bądź to, że z wdową zupełnie szczęśliwym być nie może, bądź że w sercu bohatera gnieździ się robak, zgryzający wszelkie szczęście, dość, że w ramionach pięknej żony nieszczęśliwy szczęśliwiec myśli bezustannie o pierwszej bogdance, o niej tylko marzy. Sny to stają się dlań fatalne, bo pewnego razu wyspowiadał się w nich ze swych uczuć, czem oburzona małżonka opuszcza go. Rozwódce tej już się nie wiedzie: wpada w szpony arystokratycznego uwodziciela, który wtrąca ją w nędzę i obłąkanie.

W trzeciej części bohater podróżuje jak zwykle. Wtem dochodzi go wiadomość, że umarł mąż pierwszej jego ukochanej. Podczas jego walk wewnętrznych, listy owdowiałej kobiety stają się coraz chłodniejsze. Mimo to odepchnięty niegdyś postanawia starać się o jej rękę. Wymarzonego szczęścia nie osiąga, bo obłąkana żona, z którą się rozwiódł, dowiedziawszy się o jego zamiarze, ucieka z więzienia i zabija go.

Akcya ta, w nieprzewidzianej swej tragiczności mniej zadowoli czytelnika, aniżeli pojedyncze ustępy poematu, w którym mnóstwo jest pieśni, monologów i opisów, świadczących o prawdziwym talencie.

Utwór Briegera dowodzi, że młode pokolenie poetów niemieckich zawsze jeszcze pozostaje pod wpływem owego pesymizmu, który do literatury wprowadził Schopenhauer, a którego najwybitniejszym i najkonsekwentniejszym przedstawicielem jest Hieronim Lorm. Z powodu siedemdziesiątej rocznicy urodzin przypomniał on się wielbicielom, wydając szóstą, znacznie powiększoną edycyę swoich poezyj. Lorm zasługuje na uwagę nietylko jako liryk, lecz i jako filozof. Wprawdzie wielkiego dzieła filozoficznego, które ma być dziełem jego całego życia, jeszcze nie ogłosił; lecz w pracach, które się już pojawiły, złożył wiele głębokich myśli, zwłaszcza w pracach „Der Naturgenuss,“ „Der Abend zu Hause,“ „Natur und Geist im Verhältnisse zu den Kulturepochen.“ Przytoczymy parę z nich. Oto naprzód jego myśl zasadnicza, powracająca w najprzeróżniejszych odmianach we wszystkich prozaicznych i poetyckich jego pismach. „Serce ludzkie jest polem wiecznej walki między naturą a duchem; wśród okrzyków tryumfalnych, wznoszonych to przez jedną, to przez drugą armię, niewielu zważa na to, że jedno tylko pozostaje niezmiennem: bóle, podniecane ustawicznie na tem polu walki, które samo czuje i krwawi się.“

„Historya — powiada Lorm — jest jedynie rozwojem boleści.“ „Byt — według niego — jest nieszczęściem,“ a człowiek jest „owadem w więzieniu świata.“

Ta sama struna dźwięczy w poezyach Lorma. W całym tomie jego wierszy lirycznych nie znajdziesz ani jednej piosenki wesołej. Utwór p. t. „Trapiści“ kończy się słowami: „W życiu jest jedna chwila piękna — *ostatnia*.“ Podobnie pesymizmem oddycha „Sen bramina.“ Pobożny kapłan indyjski widzi we śnie potwora, który go chce połknąć. Zbudziwszy się, zapytuje uczniów o znaczenie tego obrazu. Uczniowie sądzą, że to rzecz jasna: „Potwór, grożący nam wszystkim, któremu nikt nie ujdzie — to śmierć! — Mylicie się — odpowiada mędrzec — to życie!“

Oddawna zarzucano Lormowi, że pesymizm jego jest raczej skutkiem osobistych, przykrych losów, aniżeli wynikiem czysto filozoficznego myślenia. Gdzieniegdzie w poezyach jego spotykamy ślady tego poczucia nieszczęścia własnego. Oto jak odzywa się do kobiety, którą kochał: „Za marzenie, które nie śmiało mieć nadziei, za szczęście, które minęło nieużyte, świat, któremu je poświęciliśmy, nie odpłaci się nam wdzięcznością, ani pamięcią. Kiedy widziałem twe spojrzenie, obiecujące mi wierność słodką, zdawało mi się, żem ujrzał żal bóstwa, które mnie w nędzę wtrąciło.“

Lorm, pochodzący z wiedeńskiej rodziny Landesmannów, która w życiu umysłowem i towarzyskiem stolicy naddunajskiej niegdyś wybitną odgrywała rolę, od młodości obcujący z koryfeuszami literatury i nauki, uznany jako niepospolicie uzdolniony, sam po sobie wielkich spodziewał się rzeczy. Cierpienia fizyczne złamały go jednak w sile wieku, a dziś, przykuty do fotelu (jest głuchy i ociemniały), zbliżyć się nawet nie może do ostatniej, wielkiej pocieszycielki pesymistów — do przyrody.

Trudno o większą sprzeczność, aniżeli ta, która zachodzi pomiędzy losem Lorma a drugiego jubilata — Teodora Körnera. Pierwszy po długiem życiu, pełnem zawodów i cierpień — istnieje ciągle jeszcze, lecz w pamięci niewielu; drugi, po krótkiem lecz słonecznem życiu, wzbija się na skrzydłach entuzyazmu powszechnego wyżej, znacznie wyżej, niż zasłużył sobie wartością swych utworów. Los Körnera istotnie nie ma równego sobie w dziejach literatury. Ojciec jego, radca apelacyjny, był najbliższym przyjacielem Schillera, matka pochodziła z rodziny artystów, ciotka była malarką. W domu jego rodzicielskim prócz Schillera bywali Goethe, Tieck, Schlegel, obaj Humboldci, Henryk Kleist. Wyrósłszy w takiej atmosferze, młody Körner rychło okazywać zaczął talent poetycki, który nietylko nie przestraszył rodziców, lecz owszem najtroskliwszej z ich strony doznał opieki. Młodemu Teodorowi wolno było zajmować się wszystkiem, co mu się podobało. Skończywszy szkoły średnie, uczył się naprzód górnictwa, następnie nauk przyrodniczych, potem przeszedł do historyi i filozofii, a całą tę drogę odbył w ciągu trzech lat. Porzucał wszechnicę, która mu się znudziła i jechał na inną, przyczem studya swe przerywał bezustannie wycieczkami i podróżami. Nikt mu nie przeszkadzał

*) Lipsk, H. Rouge.

w swobodnem używaniu życia. Był urodzony w czepeczku: nigdy sam o sobie się nie troszczył. Będąc jeszcze wyrostkiem, zebrał swe wiersze, a ojciec postarał mu się o nakładcę. Podobnie powiodło mu się w Wiedniu. Przyjęty odrazu w pierwszych domach, mających wpływ na scenę, zaraz pierwsze sztuki swe „Die Braut“ i „Das grüne Domino“ wystawił w Burgtheatrze. Szczęśliwy, jak we wszystkiem, miał powodzenie u publiczności, mimo iż sztuki te bynajmniej do cennych nie należą. Zachęciło go to do dalszej twórczości, a wśród sprzyjających warunków okazał płodność, właściwą tylko wiekowi najmłodszemu, w którym dramaty i powieści sypią się z rękawa, nie mając za źródło doświadczeń i cierpień życiowych. W ciągu jednego roku napisał sześć tragedyj, pięć komedyj i pięć libret operowych! Podczas gdy inni niedojrzałe płody fantazyi chowają w tece, Körner ogłaszał wszystko, a wszystko przyjmowano oklaskami. Najudatniejsze były komedyjki, w których korzystać mógł z wrodzonej wesołości i dowcipu, wyrobionego w życiu towarzyskiem. Jego tragedye zaś—to bombastyczne naśladownictwa Schillera, który od młodości najpierwszej przyświecał mu jako wzór niedościgniony. Körner nie kusił się wcale o styl oryginalny: był zadowolony, gdy utwory jego rytmem i dźwiękiem zewnętrznym przypominały słuchaczom dramatyczną retorykę mistrza. Taka jest też tragedya jego „Zriny,“ którą obecnie w setną rocznicę urodzin autora wystawiały sceny niemieckie. Sztuka ta, napisana w r. 1812, w czasie ucisku francuskiego, znajdowała odgłos w piersiach niemców, gdyż przedstawiała bohaterską walkę o wolność. Jest ona napuszystym tworem wyobraźni młodzieńca idealistycznie usposobionego. Krew bohaterska tryska tam już na pierwszej stronicy, a przy końcu sztuki brodzimy w krwawem morzu. Że zaś w sułtanie Selimanie poeta przedstawił ciemięzcę Napoleona, a do arcyksięcia Karola, dowódcy armii austryackiej, przejrzystą odzywał się aluzyą, zyskał sobie łaski ostatniego i niebawem mianowany został dramaturgiem Burgtheatru ze stałą pensyą, za kontraktem trzyletnim.

Na tem zazdrości godnem stanowisku, którego nie uzyskali najwięksi dramatopisarze niemieccy po najsławniejszych dziełach, zdobył sobie w dodatku miłość uwielbianej powszechnie, pierwszej wówczas artystki Burgtheatru, Antonii Adamsberger i zaręczył się z nią. Pisał wówczas sam do rodziców, że chyba na świecie nie ma człowieka odeń szczęśliwszego.

Tu dopiero rozpoczyna się w życiu Körnera okres, budzący dla niego pełną sympatyę. Szczęście, które otaczało go od kołyski aż do wieku młodzieńczego, nie zepsuło go, nie uczyniło samolubnym, nie odwróciło umysłu jego od dziedzin realnych, owszem pozwoliło mu poświęcić się ideałom. Zbliżała się chwila, w której niemcy podjęli walkę o niepodległość. Körner od pierwszej chwili entuzyastycznie uświetniał myśl tę w swych poezyach.

Lecz rola Tyrteusza nie wystarczała dzielnemu młodzieńcowi. Postanowił porzucić świetne stanowisko, rozłączyć się z narzeczoną i stanąć w szeregach armii niemieckiej. Wstąpił on do korpusu Lützowa i niebawem został adjutantem dowódcy. Podczas uciążliwych marszów pisywał wiersze, których formę wprawdzie zapożyczał znowu u poprzedników swych w literaturze, ale których gorąca treść podniecała entuzjazm armii. Karol Maria Weber komponował melodye do tych pieśni, z których „Gebet während der Schlacht,“ „Bundeslied vor der Schlacht“ i „Schwertlied“ stały się najpopularniejszemi.

Körner zginął podczas wojny napoleońskiej. Wprawdzie nie na polu walki, nie podczas bitwy, lecz przypadkiem śród marszu ugodzony kulą; legenda jednak uświetniła śmierć jego i złożyła mu na mogile wieniec, spleciony z wawrzynów i nieśmiertelników.

Był to najszczęśliwszy poeta w świecie. Nie cierpiał nigdy, doznał w młodym wieku sławy szerokiej, zginął śmiercią najpiękniejszą, zanim jakikolwiek spotkać go mógł zawód. Szczęście, które za życia mu służyło, było mu wierne i po śmierci. Został on najulubieńszym poetą wyrostków — jedynych w świecie istot, które istotnie, szczerze rozentuzyazmować się mogą dla poezyi — a setną rocznicę urodzin jego obchodzono w całych Niemczech z okazałością i z pietyzmem. Jeżeli przypomnimy sobie życie jego pierwowzoru, Schillera, płonącego równym zapałem dla wolności, a przewyższającego go stokrotnie talentem, zrozumiemy głęboką prawdę dowcipu ludowego, który twierdzi, że należy być ostrożnym w wyborze swych rodziców.

Ladawa.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

LISTY WIEDEŃSKIE

20 września.

Dzieje wychodźców w Brazylii i powrót ich do Europy.

Grupa powracających z Brazylii emigrantów przybyła do Wiednia bez wszelkich do dalszej drogi funduszów.

Wychodźcy ci dotarli okrętem do Marsylii, skąd dobrzy ludzie skierowali ich na Genewę i Zurych przez Wiedeń do Krakowa. Na razie przybyła drobna tylko partya; w tych dniach tą samą drogą przybędzie jeszcze 180, a około tysiąca płynąć ma jeszcze oceanem. Opowieści tych biedaków są straszliwsze, niż wszystko, co dotychczas o losie chłopów polskich w Brazylii prasa donosiła. Z całej grupy zaledwie jeden młody wieśniak, Stanisław Dudek, z gubernii płockiej, przypomniał sobie szczegóły podróży i pobytu w Brazylii. Reszta wynędzniała, schorzała, niemal już nie zdaje sobie sprawy z niewymownie smutnego losu. Emigranci zgodnie twierdzą, że w Brazylii chłop polski wprost istnieć nie może. Nie zna języka, więc narażony jest na wyzysk bezlitosny. Nie ma tam rodzimych jego roślin, a na uprawie tamtejszych się nie zna. To też „jedzenie tam w gębę nie lezie.“ Dzieci umierają wkrótce skutkiem niestrawnego pożywienia i upałów. W Rio — opowiadał Dudek — spotkaliśmy przeszło 3,000 naszych, z kilkuset dziećmi: ani jedno nie uszło śmierci.

Niektórzy z emigrantów, nie znalazłszy roboty w Brazylii, powędrowali pieszo aż do Argentyny, do Buenos Ayres. „Powietrze tam lepsze — opowiadają — i kraj jakiś weselszy, cóż, kiedy roboty nijak znaleźć!“ W Buenos Ayres zajęła się nimi „polska pani,“ nazwiskiem Arciszewska, która wyrobiła im karty okrętowe do Europy.

W Marsylii nikt się nimi opiekować nie chciał. Błąkali się głodni po mieście, aż przypadkiem spotkał ich jakiś żyd polski, który ich pożywił, zaopatrzył trochą gotówki i listem francuskim, w którym prosił ludzi, aby wskazywali drogę. Z listem tym wędrowali trzydzieści dni z Marsylii do Genewy. Musieli sypiać pod gołem niebem mimo słoty, a żywić się kartoflami, kradzionymi na polach przydrożnych.

W Genewie spotkali rosyanina, który wskazał im adres towarzystwa polskiego. Towarzystwo to wysłało ich koleją do Bernu, skąd dostali się do Zurychu, a wreszcie do Wiednia. „Żeby Pan Jezus pozwolił przedostać się do Krakowa — żalą się biedacy — mówią, że tam już naród katolicki i po naszemu gada, to jużbyśmy radę sobie dali.“

Takie były smutne losy tej gromadki wychodźców, których widzieliśmy w Wiedniu. Zgroza pomyśleć, że jeszcze tysiące podobnych rozbitków wraca do kraju, a tysiące innych, mniej szczęśliwych, giną marnie w głębi Brazylii.

Skwosz.

Z POZNAŃSKIEGO.

20 września.

Procesy prasowe. — Sen prasy i wiec katolicki. — Wybór rektora. — Wiec rolniczy. — Plon żyta.

Mieliśmy w Toruniu aż dwa procesy prasowe; były one tak zabawne, że, chociaż dotyczą drobnostek, pominąć ich nie mogę. Przed izbą karną sądu ziemiańskiego stawał redaktor *Przyjaciela*, p. Ignacy Danielewski, oskarżony z dwóch artykułów o obrazę dwu osób. Idzie, jak zawsze, o te nieszczęsne wybory i o trochę rubaszny styl. Jeszcze w lutym 1890, podczas wyborów do parlamentu, pojawiła się w *Przyjacielu* notatka, donosząca, „że jeden z wyborców do głosowania się nie stawił, a gdy po niego posłano furmankę, skrył się za spódnicę żony i kazał powiedzieć, że go nie ma w domu.“ Uderz o stół, a nożyce się odezwą — mówi przysłowie, więc jakkolwiek o nikim nie mówiono wyraźnie w artykule, nikogo po nazwisku nie wymieniono, znalazł się taki, co wziął całą tę sprawę do serca i uznał, że artykuł był wymierzony przeciw niemu. Wylazł tedy „z za owej spódnicy“ i p. Danielewskiego oskarżył. Biedak jednak przegrał sprawę, z powodu jej przedawnienia i sąd oddalił jego żądania. W tymże samym czasie targnął się *Przyjaciel* na katolickiego nauczyciela z Romian pod Lubawą. Powiedziano o nim w odnośnym artykule, że zgoła języka miejscowego nie rozumie, a stąd rozmowa jego z ludnością słowiańską jest „jakoby rozmowa gęsi z kobyłą.“ Nauczyciel obraził się już samem porównaniem, tylko nie wiedział, czy chciano o nim twierdzić, że jest gęsią, czy kobyłą. Rozprawa sądowa, która, mówiąc nawiasem, także wypadła na niekorzyść skarżącego, również nie wyjaśniła mu tej kwestyi, tak że i nadal będzie miał pod tym względem wątpliwość. Rozprawa jednak wykazała nader ciekawą okoliczność. Oto sam nauczyciel przyznał, że rozumie tylko po niemiecku, a z rodzicami dzieci porozumiewa się *za pośrednictwem służącej*, która umie dobrze i po polsku i po niemiecku. Nauki religii udziela on także w najniższym oddziale, a najmniejszym nawet dzieciom po niemiecku. Ponieważ jednak one języka tego zupełnie nie znają, przeto pośredniczą między nim a dziećmi uczniowie starsi, którzy słowa nauczyciela na język miejscowy tłomaczą.

Narzekasz Sz. Panie Redaktorze, że prasa warszawska zasypia tak często, że jej nie zdołały ze snu wzruszyć listy Sienkiewicza, wyścigi, połknięcie człowieka przez wieloryba, a nawet świnka „Wenera.“ Tu jest pod tym względem jeszcze gorzej. Prasa warszawska już otworzyła oczy, gdy się dowiedziała, że teatr Wielki odnowiony, poznańska zaś dobrze śpi jeszcze, jak dawniej. Cicho w niej i spokojnie, chociaż rozbudzić się dla niej już wielka pora. Targają tu ją ze wszech stron, a mimo to ten sam spokój. Przeżuła już wszystko, co tylko z zapasów zimowych i wiosennych pozostało, strawiła wszelkie nowiny berlińskie i monachijskie, miała nawet specyalnego korespondenta na manewrach w Waldviertlu, a jednak śpi i rozbudzenia jej nie można się nawet spodziewać przed 27 września. W tym dniu zaczyna obradować wiec dla polskiej ludności katolickiej w Toruniu i to będzie chwila ocknienia, chociaż takich wieców już ze sto było i chociaż dowodnie okazało się, że one są zdrowe tylko dla właścicieli domów zajezdnych, gospód, browarów i szyn-

ków. Pobożne dusze, gromadzące się na wiecach wcale nie gardzą ziemskimi posiłkami, o czem zaświadczyć mogą restauratorzy. Zebrania te bowiem mogą być dla tych, „którym rozwój życia katolickiego i dobro kościoła leży na sercu,“ jednak zjada się na nich jeden lub dwa większe wspólne obiadki, kolacyjkę składkową, wysłucha się koncerciku i co najwyżej weźmie się udział w jakiej małej zabawie. Byle tylko wszystko odbyło się po katolicku. Ktoś nieznający takich zebrań posądzi mię o przesadę; niewierzących tedy zapraszam na wiec, mający się odbyć 27, 28 i 29 września. Będzie to wcale niedrogie a pouczające, jak ogłosił komitet miejscowy. Na zebrania wstęp dozwolony za opłatą 50 fen., na wspólny zaś obiad tylko 2 marki bez wina i przymusu picia go przy stole. Przed obiadem odbędzie się koncert wielkiej kapeli w ogrodzie przez cały wieczór.

Mamy tu mały kłopot z wyborem rektora dla poznańskiej piątej szkoły miejskiej. Tutejsze szkoły służą dla 9,500 uczniów; z tych 5,850 jest wyznania katolickiego, na dziewięciu jednak rektorów tylko dwaj są katolikami, reszta zaś ewangelikami, czyli, jak się tu mówi — dzieci katolickie pozostają w niewoli ewangelickiej. Faktycznie chodzi nietylko o ewangelicyzm rektora, ale i o coś więcej; ażeby jednak niemcy ulegli i zrobili w tym kierunku jakieś ustępstwo, nie ma nawet dziś mowy.

Dnia 6 września odbyło się w Buku zgromadzenie walne połączonych kółek rolniczych powiatu bukowskiego i kółka słupskiego. Było ono bardzo liczne i wzięli w niem udział tak wieśniacy, jak i właściciele dóbr większych. Tu dopiero było można dowodnie stwierdzić, jak oświecony wieśniak potrafi korzystać z nauki i jak piękny plon ona mu przynosi. Po odczytach „Jak paść inwentarz na małem gospodarstwie,“ „O odleżeniu się ziemi“ i „O procesowaniu się“ prowadzono żywą i nader pożyteczną dla członków zebrania dyskusyę.

Z polecenia ministra urządziło niemieckie towarzystwo rolnicze prowincyalne w powiatach Księstwa badania statystyczne co do tegorocznego zbioru żyta. Przedstawia się w porównaniu z rokiem zeszłym tak:

obwód regencyjny poznański:

zbiór tegoroczny	1,069	kilog. ziarna na hektar
„ zeszłoroczny	846	„ „ „ „
„ średni . .	1,023	„ „ „ „

obwód regencyjny bydgoski:

zbiór tegoroczny	1,057	kilog. ziarna na hektar
„ zeszłoroczny	933	„ „ „ „
„ średni . .	1,103	„ „ „ „

Tegoroczny tedy zbiór żyta nie można uważać w Poznańskiem za najgorszy.

ł. z.

Z GALICYI.

(Sprawa dóbr podhajeckich).

Mówią o wieku nerwowym, u nas w Galicyi chyba go nie ma, posiadamy nerwy stalowe i trzeba nadzwyczajnych nadużyć, ażeby zobojętniałe społeczeństwo obudzić z letargu.

W ostatnich dniach jak bomba dynamitowa przeraziła wszystkich wiadomość o nadużyciach, popełnionych przez dyrekcyę krakowskiego Towarzystwa ubezpieczeń. Sprawy tej nie poruszyła „ulica,“ nie wydobyli jej demagogowie, lecz sama szlachta. Widocznie było już złego za wiele, kiedy potulne „obywatelstwo,“ do żywego oburzone, jęło się drogi protestu publicznego, w którym dyrekcyi Towarzystwa, instytucyi „obywatelskiej,“ zarzuca wprost bez ogródek „nieuczciwość.“

Niedawno obchodzono jej jubileusz, kąpano się w szampanie na cześć dyrektorów, wyżebrano dla nich najwyższe odznaczenia, krytym sztychem zdobyć dla nich nawet chciano najwyższe dostojeństwo, bo obywatelstwo honorowe stolicy kraju, a dziś — czy to nie ironia — są ogłaszani za największych wrogów społeczeństwa. Jeżeli kto nie wypełnia zleceń mocodawcy, lecz postępuje wbrew jego zamiarom, nadużywa jego zaufania, popełnia czyn nieuczciwy. A obywatele protestujący zarzucają krakowskim dyrektorom, że wydzierżawiając klucz podhajecki Lilienfeldom, uczynili to wbrew uchwale Rady nadzorczej, przedstawicielki całego kraju, której wolę i postanowienia powinni wykonywać. Ale co tych panów cała ta wrzawa obchodzi? Znajdą obrońców, jak znaleźli już pismaków, którzy wybielając ich, pokazują iż „akcya Towarzystwa była w najwyższym stopniu polityczna, rozsądna i pełna abnegacyi.“ Już teraz głoszą dyrektorowie, iż „wiedzieli, że narażą się całemu krajowi, a przecież tak uczynili dla dobra instytucyi i ogółu ubezpieczonych.“

Przypatrzmy się tej sprawie przedewszystkiem ze stanowiska finansowego. Za dobra podhajeckie, warte obecnie 1½ miliona, wypłaciło Towarzystwo ks. Marcelemu Czartoryskiemu, bezdzietnemu starcowi, sumę ryczałtową 300,000 złr., a nadto obowiązało mu się płacić rentę dożywotną w kwocie 66,000 rocznie. Po śmierci byłego właściciela dobra owe za ogólną kwotę 800,000 złr. przejdą w posiadanie członków działu życiowego, co stanowi najmniej 1½ milionową wartość, czyli że członkowie tego działu zarobią na czysto 700,000 złr. Kupno to więc jest nader korzystne, a dyrekcyi trzeba przyznać, że nie cofnęła się przed tak wyjątkową „tranzakcyą,“ lecz podjęła ją energicznie i do celu doprowadziła. I ze stanowiska społecznego pocieszającym jest fakt, że piękny obszar ziemi nie przeszedł w wątpliwe dłonie, ale dostał się pod zarząd instytucyi krajowej. Gdyby nie Towarzystwo, dobra te przy znanym u nas zastoju, przeszłyby według wszelkiego prawdopodobieństwa w ręce obce. A teraz odwrotna strona medalu: Klucz podhajecki, obejmujący 11 folwarków w Galicyi wschodniej, dzierżawionych przez żywioły krajowe, z gminami przyległemi, w których żyje około dziesięciu tysięcy ludności włościańskiej, Towarzystwo wydzierżawia na lat 20 braciom Lilienfeldom! Interes finansowy — powiadają — dogadza co najwyżej tym, którzy swe życie ubezpieczyli w krakowskiem Towarzystwie, ale ono dopuściło do posiadania na ćwierć wieku żyda, ze szkodą dla długoletnich, od dziada pradziada osiadłych tam dzierżawców i wyrzuca tym sposobem na bruk „dobrą szlachtę,“ na której wzrosła i z której głównie żyje. Układ z Lilienfeldami jest przedewszystkiem dla tych ostatnich niezwykle korzystny: płacą oni tytułem czynszu tylko 45,000 złr. rocznie (co za morg czarnoziemu wypada około 6 złr.). Doszli oni do tej fortuny drogą, którą się u nas dokonywają wszystkie sprawy publiczne... Zaledwie wieść o dzierżawie gruchnęła po kraju, wystąpiło natychmiast obywatelstwo podhajeckie, jako najbardziej w tej sprawie interesowane, z publicznym „protestem,“ wykazując: że „sprawa wydzierżawienia dóbr tych na lat 20, traktowana jako interes, przedstawia się niekorzystnie, z dóbr tych bowiem znacznie większy dochód uzyskać można, niż wynosi ofiarowana przez Lilienfeldów opłata, jeżeli nie na razie, to za lat kilka, gdy dotychczasowe kontrakty wyjdą, a tem więcej wobec stale podnoszącej się renty ziemi, blisko ćwierćwiekowej dzierżawy i będącej w trakcie budowy kolei“; że „przez wydzierżawienie dóbr podhajeckich Lilienfeldom kilkadziesiąt rodzin dzierżawców i oficyalistów, nie licząc drobnej służby folwarcznej, pozostanie bez chleba“; że „dyrekcya Towarzystwa wzajemnych ubezpieczeń w Krakowie wraz z prezydyum rady nadzorczej, zawierając umowę z Lilienfeldami cichaczem bez uprzedniego ogłoszenia, bez zapytania dotychczasowych dzierżawców i zażądania ofert od nich, wykluczając w ten sposób wszelką inną konkurencyę, uczyniła to wbrew wyraźnej uchwale rady nadzorczej, która postanawiając nabycie dóbr podhajeckich, uchwaliła pozostawić je na razie pod względem administracyi w dotychczasowym stanie i polecić dyrekcyi, aby dopiero na jesiennej sesyi projekt dalszej administacyi radzie nadzorczej przedstawiła.“

Od tego czasu mnożą się odezwy i protesty potępiające. Ziemiaństwo buczackie wystosowało następujące pismo do dyrekcyi i rady nadzorczej: „Wydział Rady powiatowej, nie wchodząc w prawno-prywatną i finansową stronę tej drażniącej sprawy, ani też nie roztrząsając kwestyi rzekomo samowolnego postępowania Świetnego Prezydyum, udaje się tylko z prośbą, by Świetne Prezydyum najusilniejszych starań ku rozwiązaniu tego interesu dołożyć raczyło. Na wypadek więc, gdyby wydzierżawienie dóbr podhajeckich pp. Lilienfeldom na lat 20 miało się stać — o czem jednakże wątpić chcemy — czynem dokonanym, Wydział Rady powiatowej buczackiej widziałby się zmuszonym czyn ten Prezydyum Rady nadzorczej Towarzystwa wzajemnych ubezpieczeń w Krakowie z najgłębszym żalem uznać za nieodpowiedni *). I zjazd członków oddziału Podolskiego c. k. Towarzystwa gospodarskiego podaje do publicznej wiadomości jednogłośnie zapadłą następującą uchwałę: „Na wiadomość o wydzierżawieniu rażąco nieodpowiedniem dóbr podhajeckich Walne Zgromadzenie członków oddziału podolskiego c. k. Towarzystwa gospodarskiego wyraża Dyrekcyi i Prezydyum Towarzystwa wzajemnych ubezpieczeń w Krakowie — swoje ubolewanie i oburzenie za ten czyn...“ Słusznie zauważył jeden z dzienników, że w całej tej brudnej sprawie zadraśnięty został także stanowy interes pewnego koła szlachty wiejskiej, ucierpiała duma, że Towarzystwo o niej bez niej zadecydowało. A od kogoż to cios ich ten spotyka? Od instytucyi, której filarami są stańczycy. Szlachta owczym pędem szła za nimi, wyzuła się niebacznie ze swego głosu w sprawach publicznych, w sejmnie i po za sejmem włożyła głowę dobrowolnie w jarzmo stańczykowskie, zgodziła się na polityczną abdykacyę i doprowadziła do tego, że na nią komenda już dziś się nie ogląda, że się z nią nie liczy. Oto macie dowód na sobie, że przechodzi nad wami do porządku dziennego, jeśli nie jesteście potrzebni do zdobycia czegoś, co dla jej przywódców jest potrzebne. Lecz wasza to wina, staliście się dobrowolnie pochyłem drzewem, na które kozy skaczą. Czyż to występowaliście w ostatnich kilkunastu latach jako klasa, która sprawy publiczne bierze gorąco do serca? Czy zwoływaliście wiece i uchwalali ogniste rezolucye w sprawach gminnych, szkolnych, ekonomicznych, politycznych? Czy widziano was w życiu publicznem po za sferą najciaśniejszych interesów stanu? Sprawa podatku wódczanego lub propinacyi — jeszcze was elektryzowała — lecz po za sobkostwem materyalnem — nic... Przyjmijcież więc dzisiaj konsekwencyę waszego postępowania, przyjmijcie z pokorą lekceważące potraktowanie łokciem od własnych przewódców. Dyrekcya Towarzystwa Ubezpieczeń, która zrobiwszy interes milionowy, nie uważała nawet za stosowne podać go do wiadomości publicznej, tłomaczy obecnie oddanie w dzierżawę klucza podhajeckiego Lilienfeldom tem, „że nikt nie ofiarował tak wielkiej tenuty“ i że zarząd dobrami „uprościł się i ujednostajnił

*) Niech czytelnik nie wkłada na nas odpowiedzialności za ten styl galicyjsko-niemiecko-kancelaryjny. Red.

za pomocą stałego i niezmiennego przez lat 20 czynszu.“ Śmieszny to wykręt i nic więcej. W kraju naszym byli i są wielkimi dzierżawcami tylko spekulanci. Pokażcie nam tych przedsiębiorców obywateli, którzy mając kilkakroć tysięcy, lub nawet o wiele mniej, chcą trzymać dzierżawę. U nas obywatel woli mieć jedną wioszczynę, być panem na własnych śmieciach, aniżeli posiadając majątek znaczniejszy, być tylko dzierżawcą. Bierze się do dzierżawy wówczas dopiero, gdy straci własne mienie. Dzierżawców wielkich majątków u nas niema, a gdyby się znalazł nawet magnat, któryby się chciał bawić w takie spekulacye, to by mu kosztowna administracya wszystko pożarła. Mieliśmy tego niejednokrotne w ostatnich czasach dowody. Wielkie przedsiębiorstwa, wielkie dzierżawy służą dziś tylko wyzyskiwaczom. Otóż za największe złe uważamy to, że krakowskie Towarzystwo ubezpieczeń szukało generalnego dzierżawcy. Ponowiel bez obłudy — szukając go, mieliście upatrzonych już Lilienfeldów, pozostając bowiem z natury rzeczy w ciągłych stosunkach z naszymi obywatelami, wiedzieliście dobrze, że nie znajdziecie niespekulanta. Dlaczego nie zatrzymaliście sposobu, praktykowanego dawniej w tym samym kluczu, w którym każda wieś miała swego dzierżawcę? Tłomaczycie się tem, że sumy ofiarowane przez wszystkich dzierżawców razem wzięte nie wynosiły kwoty ofiarowanej przez Lilienfeldów. Przedewszystkiem nie próbowaliście tego na seryo, gdyż działaliście cichaczem i pozornie, aby się zasłonić. Czy konieczność zmuszała was do tego, abyście z tych dóbr wydusić mieli o kilka tysięcy rocznie więcej i dlatego wyrzucali na bruk tyle rodzin? Co by powiedziano, gdyby dla wydobycia kilkunastu tysięcy złr. lub więcej i pożałowania swoich interesów zrobił to u nas który z obywateli, jednostka prywatna, niemająca takich obowiązków wobec kraju, jak krakowskie Towarzystwo ubezpieczeń i jego dyrekcya? Na podejrzenie dziennika, który śmiało i otwarcie całą sprawę wyłuszczył, wykazując, że były tu w grze „nieczyste motywa,“ „rozmaite czynniki, dybiące na *grube porękawiczne* i nic więcej“; nie odpowiedziała dyrekcya ani słówkiem! Ufając w swoje wpływy i moc czarodziejską połączonych z nią instytucyj, liczyła na to, że nikt nie odważy się jej zdemaskować, lecz panowie Kieszkowscy przeliczyli się, przegrali stawkę hazardową, a z nią zaufanie ogółu i narażają dziś na szwank instytucyę, która wygrała los przez kupno dóbr podhajeckich, a zbankrutuje przez ich dzierżawę...

Beta.

IZYDOR KOPERNICKI.

(Wspomnienie pozgonne).

Wielkość badacza i stanowisko jego w świecie naukowym tylko w pewnej mierze są wynikiem jego własnych uzdolnień i pracowitości; jeszcze więcej może zależą one od warunków. Istnieje przysłowie, że największy mędrzec nic naleje z próżnego w puste. W rzeczy samej wyobraźmy sobie chociażby Darwina, lecz w oderwaniu od tych zasobów doświadczenia zootechnicznego, jakie wysoki rozwój ekonomiczny nagromadził w Anglii i osadźmy go na cywilizowanym zaścianku. Czy sprawiłby on wtedy ów przewrót olbrzymi w nauce, który imię jego uczynił jednym z drogowskazów historyi umysłowej? Myśl ta już kilkakrotnie nasuwała się nam przy nazwisku Iz. Kopernickiego. Tkwił w nim bezwarunkowo materyał na człowieka, zapisującego długotrwałą sławę swoją w rocznikach nauki. Działalność jego naukowa przypadła na te chwile, kiedy antropologia odbywała swój poród, wyrabiała pojęcie zasadnicze i utrwalała metody badania. Lecz aby dokonać coś pierwszorzędnego na tem polu, trzeba było znajdować się w posiadaniu odpowiedniego materyału. Antropologia jest nauką porównawczą wymagającą dla swego postępu bogatych zbiorów. Cała sława Pawła Broca pochodzi z tąd, że posiadał on pod ręką olbrzymi zbiór czaszek z różnych okolic globu ziemskiego, mógł więc czynić pomiary dla znalezienia dobrych wyznaczników osteologicznych rasowości i utrwalenia metod badania. Dzięki temu stał się on twórcą poniekąd całej dzisiejszej metodologii antropologicznej. A teraz wyobraźmy sobie człowieka, istnego tułacza, przerzucanego losami z jednego zaścianka cywilizacyjnego w inny; a rozporządzającego tylko tym materyałom kraniologicznym, który zdołał zebrać sam własnymi wysiłkami! Cała działalność jego z ogólno-porównawczej musi zejść do partykularno-monograficznej, ograniczy się do mozolnego gromadzenia faktów w małym zakresie, z których, chociażby zabrały wiele lat czasu, przyszły dziejopis całokształtu antropologii, wyciśnie zaledwie kilka wierszy i nie wspomni o tym, komu zbiegło na tem całe życie. A tymczasem ów skazany kiedyś na zapomnienie zbieracz czuje, że w innych warunkach zdobyłby się na coś istotnie epokowego... I gdyby przynajmniej owo pokutowanie na partykularzu okupione zostało wypielęgnowaniem umysłów, które skupiłyby się pod sztandarem zmarłego mistrza, a ukochawszy myśl jego, rozniecily ją w przyszłości! Tymczasem spotyka nieszczęśliwego badacza niespodzianka. Kiedy owoc wieloletnich zabiegów i warsztat swojej pracy naukowej, zbierany okruszynami i z mozołem, chce ofiarować publicznej instytucyi naukowej, ktoś stawia pytanie: czy warto je przyjąć i wyznacza „znawców“ do wydania wyroku. Szkoda, że wysoko postawiony c. k. biurokrata nie zakwestyonował jeszcze początku samej antropologii. Apatya i niechęć ogarniają mimowoli uczonego, a te stany duchowe są najlepszą oznaką, że spoczywają w nim potężniejsze siły umysłowe, niż jego otoczenie. Tylko miernota może być zadowolona ze swych badań nad królem Ćwieczkiem i jego kanclerzem Podowieczkiem i ufać, że na zasadzie tych studyów prawy but jej, jak mówi Słowacki, powieszą w Sybilli, a o lewy będą spory...

Pierwsza praca antropologiczna Kopernickiego ukazała się w *Sprawozdaniu pierwszego zjazdu przyrodników ruskich.* Było to w 1861, w tym czasie, kiedy antropologia właśnie z całą gwałtownością rodzącej się nauki otwierała przed umysłem ludzkim nowe widnokręgi i kiedy być antropologiem — znaczyło być w niezgodzie z wielkiemi pętami, nałożonemi na myśl ręką ludzką przesądu. W 1863 widzimy go w Paryżu, gdzie przyjmuje udział w wyrobieniu metod antropologicznych, z tego czasu pochodzi praca jego o kraniografii, ogłoszona w pamiętnikach paryskiego towarzystwa antropologicznego. Przez lat kilka mieszka w Serbii, wreszcie w 1865 podejmuje uporządkowanie, a raczej stworzenie muzeum anatomicznego w Bukareszcie. Z tego okresu pochodzą studya jego nad czaszką murzyńską. W 1871 sprowadza się do Krakowa, gdzie w 1878 obejmuje jako docent wykład antropologii. Ogłasza on rozprawę nad cyganami, która zostaje odznaczona przez paryskie towarzystwo nagrodą Godarda; w dalszym zaś ciągu badania nad czaszkami ojnów, będące do ostatnich czasów główną pracą w zakresie tego szczepu. Prace te zyskały Kopernickiemu imię ogólno-europejskie. Lecz głównie. co jest rzeczą zrozumiałą, zwraca on w Krakowie swoje poszukiwania w kierunku ludności krajowej, zarówno żyjącej, jak przedhistorycznej. Można rzec z całą słusznością, że był to jedyny nasz antropolog, kilku bowiem dyletantów jeszcze istniejących niepodobna tytułować poważnie. Dokonane wraz z d-rem Meyerem określenie charakterystyki fizycznej ludności galicyjskiej, samodzielnie prowadzone studya antropologiczne nad góralami, prace nad czaszkami z grobowców przedhistorycznych Pokucia i nad przedmieszczanami dawnego Krakowa, stanowią cały niemal nasz dotychczasowy przyczynek do antropologii krajowej. Ostatnimi czasy począł zmarły, z istotną stratą dla antropologii przerzucać się na pole tak obficie u nas uprawiane: „ludoznawstwa.“ Zmuszony potrzebą zarobkowania, mieszkać latem w Rabce, pozostawił kilka studyów nad ludnością beskidową. Po śmierci Kolberga objął wydawnictwo nagromadzonych przez niego materyałów.

Iz. Kopernicki urodził się w 1825 w powiecie zwinogródzkim, w 1849 skończył uniwersytet w Kijowie. Obowiązany jako stypendysta odsłużyć pewną liczbę lat w wojsku, był chirurgiem wojskowym do 1857, a następnie objął stanowisko prosektora w Kijowie.

Lud. Krz.

PAMIĘTNIK.

Chmiel.

Ile razy nasi producenci zgromadzą się na naradę w Towarzystwie popierania przemysłu i handlu, zawsze dojdą do wniosku, że należałoby od jakiegoś artykułu handlowego podwyższyć cło wchodowe. Jest to *alfa* i *omega* naszej mądrości ekonomiczno-praktycznej. Filozofii tej niepodobna odmówić prostoty. Bo naturalnie im wyższy będzie mur, przegradzający wejście towarom zagranicznym, tem bardziej pod nim kwitnąć mogą przedsiębiorstwa miejscowe i tem łatwiej zdzierać ze spożywców łyka zysku. Rozumie się, zupełne zamknięcie wstępu produktom obcym stanowi najwyższy ideał przemysłowców. Wtedy, uwolnieni od współzawodnictwa, mogliby oni wyrabiać, co by im się podobało i sprzedawać po cenach dowolnych. Taryfa celna, będąca nieraz bardzo gęstem rzeszotem, które odsiewa tylko drobną część wytworów zagranicznych, przedstawia zarazem rodzaj wentylu, który odświeża powietrze spekulacyi kapitalistycznej każdego kraju i zapobiega jego zbytniej duszności.

W Towarzystwie popierania przemysłu i handlu, będącem głównie świątynią pierwszego z tych bożyszcz, modlitwy o deszcz ceł muszą rozbrzmiewać najczęściej. Nie zdziwiło też nas, gdy niektórzy z chmielarzów, uczestniczących w ostatniej naradzie, domagali się podwyżki cła na produkt, który uprawiają, a nawet zaryglowania przed nim komór granicznych. Ten ostatni apetyt, przypominający żarłoczność pustelnika z Friedrichsruh, stłumiono; zgodzono się tylko na podwojenie opłaty celnej. Pomijając kwestyę jej proponowanej wysokości, ze stanowiska producentów przyznać musimy słuszność skargom na współzawodnictwo chmielu zagranicznego. Jak to kiedyś wyjaśniliśmy czytelnikom naszym, pewna dość znaczna część browarów tutejszych pozostaje w zależności od kapitalistów niemieckich, którzy są bądź ich współwłaścicielami, bądź wierzycielami, zobowiązującymi piwowarów (w warunkach udzielonej im pożyczki) do nabywania chmielu obcego. Zdarza się więc często, że krajowy, który podobno już wyrównywa cudzoziemskiemu, idzie za granicę i stamtąd, ponosząc koszta podwójnego transportu i cła, wraca do nas w odpowiednich cenach. Powstaje stąd położenie dziwaczne i dla producentów wysoce dokuczliwe. Wytwarzają oni materyał dobry i w ilości wystarczającej potrzebom, mimo to albo nie mają dlań zbytu, albo też muszą go taniej sprzedawać, ażeby mógł powędrować za granicę i stamtąd przybyć bez szkody konkurencyjnej dla niemieckiego. Ponieważ

zaś piwowarzy nie chcą, czy nie umieją wyzwolić się z zależności obcej, nie pozostaje więc pokrzywdzonym nic innego, jak szukać opieki w podwyżce cła.

Warto zaś poznać chociaż kilka znamiennych rysów tej zależności. Chociaż ilość przygotowywanego u nas chmielu przerasta nawet zapotrzebowania miejscowe, zaledwie *czwarta część* używanego w browarach pochodzi z kraju. Nadto niektóre browary posługują się wyłącznie zagranicznym, mimo że ich właściciele — i to jest wysoce charakterystyczne — posiadają własne plantacye. Tak np. p. Parczewski z Nowego Dworu, który na wystawie wileńskiej otrzymał *medal złoty za uprawę chmielu*, wyrabia swoje piwo z obcego. Nieprawdopodobne a prawdziwe. Każdy spyta: dlaczego? Bo tak chce majster niemiec. Od takich niemców moglibyśmy się nauczyć nietylko warzenia piwa; ale właśnie biorąc z nich wzór, należy zadać sobie to pytanie, które postawił *Kuryer codzienny*: „Czyż majstrów piwowarskich krajowców niema? Jeżeli nie ma, to przecież piwowarstwa... nauczyć się można.“ O tej kwestyi chmielarze powinni byli nieco pomówić i nie szukać zbawienia wyłącznie w podwyżce cła.

Położeniu temu odpowiada w zupełności przebieg i rezultat tegorocznego jarmarku. Ogółem dostawiono przeszło 5,000 pudów towaru, a do ostatniego dnia prawie nie miał on kupców. Producenci, którzy w ostatnich latach rozmnożyli się znacznie, gdyż wielu z nich przedsięwzięło uprawę chmielu jako środek ratunkowy lub jako rozwinięcie gospodarstwa rolnego w kierunku przemysłowym, uczuli nieprzyjemny dreszcz a w zebraniu naradczem kilkakroć położyli ostrzegający nacisk na nadprodukcyę i możliwość powszechnej straty. Faktycznie ten nadmiar wobec przewagi chmielu zagranicznego już istnieje, a ponieważ o zamknięciu granicy marzyć trudno, podwyżka zaś cła jest niepewna, więc odezwał się głos zalecający starania i widoki wywozowe. Nas zagranica zasypuje swoim chmielem, my w nią żadnym nasz. Zapewne byłoby to pochwyceniem byka za rogi, ale kto go za nie ujmie? Sami producenci? Chyba w wypadkach nader rzadkich, mianowicie, gdy obok energii i uzdolnień handlowych posiadają dostateczne środki do działania i zasoby towaru do zbycia. Nam się zdaje, że tę drogę utorować mogą tylko kupcy zawodowi, jeżeli upatrzą dogodne rynki i pewno korzyści. Zanim chmiel nasz wyjdzie za granicę, musi naprzód przejść z dziedziny przemysłu w dziedzinę handlu — bardziej, niż dotychczas. *Z.*

Obrachunek rolniczy.

W znanem urzędowem przedstawieniu urodzajów na całej przestrzeni państwa ruskiego Królestwo Polskie miało cenzurę plonów średnich lub dobrych. I rzeczywiście, chociaż dżdżyste lato sprawiło wiele szkód dotkliwych, zebrano trawy obfite, oziminy średnie, jarzyny niezłe. Nie mówiąc już o wewnętrznych guberniach Cesarstwa, gdzie klęska zgładziła z ziemi wszystko, co na niej rosnącego znalazła, nawet w porównaniu z innymi krajami wyszliśmy z niepowodzeń gospodarczych roku obecnego stosunkowo dosyć szczęśliwie. Ale przy obrachunku gospodarczym zapomniano o jednym bardzo ważnym artykule — o kartoflach, które stanowią główne pożywienie naszego ludu i które zupełnie zawiodły, zaledwie oddając rolnikowi zasiew z małym przyrostem. Według p. T. Łuniewskiego (w *Gazecie handl.*) morga, zasadzona kartoflami, wydaje 20—25 korcy, tj. 140—175 pudów; jeden robotnik wykopuje dzienie ½ korca, a w tem część murszywych i zepsutych; plon wynosi 2½ do 3, czyli [illegible] zwykłej średniej ilości. Wyrazem tego stanu jest obecna cena kartofli, 2 do 3 rs. za korzec 7 pudowy, czyli 3 do 4 razy więcej, niż lat poprzednich. W latach średniego plonu urodzaj i spożycie kartofli w Królestwie Polskiem przedstawia (w cyfrach okrągłych) 200 milionów pudów, czyli około 30 mil. korcy. Zbiór zużywany bywa w ten sposób: na zasiew 40 mil. pud., na wyrób okowity 12, na pokarm 147. Plantacye kartofli zajmują przeciętnie w kraju $^1/_{15}$, czyli przeszło 6% wszystkich gruntów ornych. Jedna osoba spożywa rocznie średnio 20 pudów. Urodzaj tegoroczny daje ½ zwykłego plonu, czyli 70 mil. pud., tj. 10 mil. korcy, która to ilość rozdzieli się na potrzeby tak: na zasiew (sam drobiazg i krajane, przyczem dla braku i drożyzny ziarna zasadzone będą mniejsze przestrzenie) 20 mil. pud.; gorzelnie przerobią najwyżej $^2/_3$ zwykłej ilości, tj. około 8 mil. pud.; na żywność zostanie 42 m. p. Na tę ostatnią potrzebę zabraknie 106 mil. pud., czyli 17 mil. korcy kartofli, a ten niedobór musi być w pokarmie zastąpiony $5\,^1/_4$ mil. korcy zboża. Nieurodzaj kartofli u nas przedstawia stratę 25—30 mil. rs. Stoimy tedy — powiada p. T. Ł. — wobec bardzo poważnej kwestyi.

Dostrzeżono ją i pojęto już w rozmaitych okolicach kraju, a prasa prowincyonalna, bardziej zbliżona do miejsc klęski, odbija echa skarg i ostrzeżeń. W *Gazecie radomskiej* ks. Fudalewski nawołuje już duchowieństwo do przyjęcia udziału w dobroczynności ogólnej. Jednocześnie *Kuryer warszawski* donosi, że „ogromną ilość ziemniaków skupują agenci i wywożą je za granicę.“ Nasuwa to przerażonym myśl zatamowania odpływu kartofli tak, jak wstrzymano odpływ żyta. Istotnie, gdyby wywóz zmniejszył jeszcze tę ½ zwykłego urodzaju, położenie stałoby się groźnem i wymagającem środków zaradczych. Pamiętać przytem należy, iż one pogorszyło się skutkiem wysokich cen zboża, a zwłaszcza żyta. Kiedy cały kraj ogarnęła gorączka sprzedaży tego produktu przed zamknięciem granicy, wieśniak zbywał swoje zapasy w nadziei, że później na potrzeby własne odkupi je taniej. Tymczasem ceny zboża utrzymały się w wysokiej mierze dotąd, a właściciele albo sprzedają je dalej, albo wyczekują zniżki, która z pewnością nie nastąpi. Nie ulega przeto wątpliwości, że żyta również zbraknie, a w każdym razie jego zapasy nie pokryją ubytku, spowodowanego nieurodzajem kartofli. Nasz więc obrachunek gospodarczy przedstawia się bardzo smutnie. *W.*

„Interview.“

Zwolennicy „interviowów“ powinniby zaprzestać pogoni za dostojnikami, od których zwykle niczego się nie dowiadują, i zacząć badać zwykłych śmiertelników, maluczkich, najmniejszych, którzy są bardzo szczerzy i od których dowiedzieć się można wiele ciekawych rzeczy. Jestem przekonany, że rozmowa z naszym Bartkiem byłaby dla dziennika bardziej interesująca, niż z lordem Salisburym, chociażby dlatego, że Bartek wynurzyłby się z wszytkiego, a lord — z niczego. Przed kilku dniami „interviewowałem“ pewnego skromnego kupca w sprawie spodziewanych wielu bankructw.

— *Faul*, gorzej niż *faul* — odpowiedział mi z „szubienicznym humorem.“ Czemu pisma krzyczą, że Białystok pokryje się upadłościami? Ręczę panu, że on nie jest gorszy od Warszawy, od... od najbogatszego miasta. Na czem my stoimy — dalibóg nie wiem. Jest to coś węższego, niż ostrze brzytwy, coś kruchszego niż lód. Poczekaj pan jeszcze parę miesięcy — a zobaczysz, jak się na tych brzytwach zaczną przecinać nogi i na tym lodzie załamywać gmachy. O „cichych bankrutach“ nie mówię, bo ci codzień „regulują“ sotkami. Nigdzie nie ma dziś więcej „pobielanych grobów,“ niż w świecie handlowym. Na zewnątrz ozdobne sklepy, wspaniałe wystawy, czasem powozy, bale, szyk, a w portfelach bankówi lichwiarzów stosy weksli, które cicho, a czasem głośno śmieją się z tych pozorów. W jesieni wybuchnie niewątpliwie pomór firm — zapamiętaj pan moje proroctwo. Nie będzie temu zaś winna złość lub lekkomyślność ludzka, ale zastój we wszystkich interesach.

Na tę samą nutę śpiewają ziemianie. Pan Wincenty, z którym miałem również „interview,“ powiada.

— Towarzystwo kred. ziemskie po nieurodzaju rozłożyło nam zaległe raty. Byłaby to niewątpliwa ulga, gdyby rok obecny nie przyniósł nowych klęsk. Ale gdy one spadły i gdy do zwykłych rat przybyły dodatkowe, niepodobna dźwignąć zwiększonego ciężaru. Jeszcze lat parę, a zobaczysz pan, że Towarzystwo będzie musiało nabyć za długi połowę dóbr ziemskich.

Czekajmy na spełnienie się tych proroctw. Tymczasem niech reporterzy zmienią kierunek swych „interviewów,“ a wydobędą z nich wiadomości bardzo ciekawe. *N.*

W sprawie dzieci.

Zewsząd słyszymy utyskiwania albo na brak zupełny lekcyj i korepetycyj, lub też na to, że stopa otrzymywanego wynagrodzenia w porównaniu z rokiem przeszłym spadła nadzwyczajnie. Skargi te pochodzą od młodzieży zupełnie ubogiej lub małozamożnej, nieposiadającej wymagań wygórowanych, bo uważającej już lekcyę, która za godzinę pracy dziennie dałaby 8—10 rubli na miesiąc, za bardzo dobrą. Położenie to jest poniekąd wynikiem ogólnego stanu ekonomicznego, w którym każdy musi zmniejszać swoje wydatki. Na domiar złego położenia otworzono wrota dla szczególnego wyzysku. Są ludzie zamożni, mogący „wyrzucić“ jakieś 8 rubli na dobrego korepetytora. Otóż rzecz ciekawa, że właśnie ci ludzie dali w tym roku pierwsze hasło zniżenia opłaty korepetytorom. Zapewniano nas, że przy umowach o wynagrodzenie z góry można było wiedzieć, że warunki będą tem gorsze, im rodzice dziecka większe posiadają mieszkanie i zbytkowniejsze meble. Tak np. pewien lekarz, mieszkający w jednym z pierwszorzędnych hoteli, urządził formalną licytacyę *in minus*. Wszystkich kandydatów przyjął jednocześnie, zwrócił się o warunki do pierwszego, a później do innych, uwiadamiając, że tego wybierze, który postawi najmniejsze wymagania. Wypadek to niejedyny w tym roku. Pomysłowy syn Eskulapa znalazł naśladowców. Gdyby to czynili ludzie biedni, nic nie mielibyśmy przeciwko temu. Człowieka względnie zamożnego natomiast spytamy, czy wie, na kim lub na czem spekuluje. Sądzi on, że wykpił u biednego młodzieńca 3—5 rs. na cygara. Tymczasem w gruncie rzeczy handluje wykształceniem swojego dziecka. Korepetytor, który w domu zamożnym przyjął tak niekorzystne warunki, wykłada z pewnym żalem, że nadużyto jego położenie, a uczeń pada pierwszy ofiarą tego słusznego niezadowolenia. Z drugiej strony, aby utrzymać się, wykładający przyjmuje mnóstwo lekcyj źle płatnych. Zmęczony spieszy się, odbywa swoje obowiązki, byle je zbyć. I znowu uczeń jest stroną poszkodowaną. Oszczędność rodzicielska zwraca się przeciwko własnemu dziecku. *L. K.*

PRASA RUSKA.

Warszawskij Dniewnik pisze:

„Otwarcie odnowionego w Warszawie teatru Wielkiego dało powód do licznych „korespondencyj z Warszawy,“ pomieszczanych w gazetach stołecznych. Wszystkie te korespondencye odznaczają się szczególnie rozdrażnionym tonem, wszyscy pp. korespondenci niezadowoleni są z tego, że w Warszawie został odnowiony teatr, chociaż polski, ale uważany za rządowy i otrzymujący zapomogę na swoje utrzymanie. Niektórzy

(*Mosk. Wied.* i *Sław. Izw.*) widzą w otwarciu przebudowanego teatru „początek wielkiego podboju polskiego na gruncie kultury i wydaje się im, że ze wszystkich kresów terytoryum, zamieszkanego przez polaków, nawet ze wszystkich krajów słowiańskich — nie dość na tem, nawet rosyanie z ziem czysto ruskich pojadą przyjrzeć się teatrowi polskiemu i przekonają się, że rosyanie tchną „kulturą polską i sztuką polską.“ Korespondenci wyrażają też zdziwienie, że nasz hymn państwowy i narodowy odśpiewany został przy otwarciu teatru po polsku.

Ogólny ton korespondencyj tych mniej więcej jest jednakowy, różnica polega tylko na większem lub mniejszem rozdrażnieniu. Ale poruszona została również kwestya funduszów, wydanych na przebudowę teatru i tu następuje zupełna różnica w podawaniu wiadomości. Kiedy korespondent *Now. Wr.* zapewnia, że „na przebudowę teatru Wielkiego wyznaczono z kasy rządowej 600 tysięcy,“ korespondent *Mosk. Wied.* utrzymuje uporczywie, że wydano na ten cel 1,200,000! Różnica oczywiście ogromna: korespondent *Mosk. Wied.* podwaja sumę korespondenta *Now. Wr.*, a innemu korespondentowi innej gazety z łatwością mogłaby przyjść chęć potroić ją lub nawet w czwórnasób podać większą. Korespondent *Mosk. Wied.* zapewnia, że teatrowi polskiemu oprócz zapomogi podarowana została „masa domów dochodowych“ i że jest projekt, jakoby „należało starać się o rs. 80,000 subsydyum na utrzymanie opery polskiej oprócz już otrzymywanych 30,000 rs.“

Niepodobna nie pragnąć, ażeby nasze poważne organy stołeczne rozprawiały swobodnie, poważnie i racyonalnie o tem, co się dzieje w kraju naszym. Niechaj myślą o naszych kłopotach i biedach, ich słów chętnie słuchają ludzie ruscy, którzy przyjechali tu, ażeby prowadzić sprawę ruską. Ale głos ich, ażeby był przekonywającym i pouczającym, powinien być zupełnie wyraźny i zrozumiały. Nie będziemy mówili na temat: czy będzie, czy nie będzie „polskim podbojem kulturalnym“ teatr warszawski i czy celem jego: polszczyć rosyan, ujawniać ich słabość kulturalną itp. Sądzimy, że sam nawet korespondent *Mosk. Wied.*, bardzo śmiały w twórczości, zręczny w dobieraniu barw i wyrażeń, nie wierzy w to, co mówi, jak nie wierzy również, ażeby siła kulturalna ruska słabszą była od polskiej, tak samo, jak nie może myśleć, że władze ruskie w naszym kraju nagle w ciągu jednej nocy spolszczyły się i nieledwie zostały sługami partyi rewolucyonistów polskich. Zaznaczając, że przy otwarciu teatru odśpiewany został hymn narodowy po polsku, korespondent zapomina dodać, że w teatrach tutejszych zawsze i dawniej nasz hymn państwowy wykonywany był przez artystów po polsku. Zatem przy otwarciu teatru Wielkiego po przebudowie nie uczyniono wyjątku.

My nie mniej, niż wszyscy ludzie ruscy i korespondenci gazet stołecznych, pragniemy urządzenia sceny ruskiej, teatru ruskiego w Warszawie. Uważamy to za konieczność, za jedno z głównych zadań, jakie należy wykonać. Czyż jednak pp. korespondenci nie wiedzą, że obecnie przebudowany teatr będzie jak i dawniej służył też i scenie ruskiej, skoro się tylko u nas ona ukaże? Jakiż więc cel mogą mieć wszystkie te lamenty o wielkiej krzywdzie, wyrządzonej w Warszawie ludziom ruskim? Naturalnie, potrzebny jest oddzielny teatr w Warszawie i wierzymy, że na to nastanie czas.

Co się tyczy cyfry wydatków na teatr, podawanej przez korespondentów, to ona jest dowolna. Wydano rs. 300,000 z „funduszu użyteczności publicznej“ i rs. 350,000 wyznaczono ze skarbu. Wprawdzie jest przewyżka wydatków, przenosząca rs. 100,000, lecz pokryta ona będzie z różnych źródeł. W nr. 193 gazety naszej donieśliśmy, że bilans wydatków na przebudowę teatru wynosi rs. 712,000. Jak widzimy, do rs. 1,200,000 jeszcze bardzo daleko.“

KRONIKA.

Sprawy społeczne. Warszawska Rada miejska dobroczynności publicznej zatwierdziła w tych dniach zapis Celiny Bielińskiej rs. 10,000, jedną połowę dla biura nędzy wyjątkowej, drugą dla powiększenia funduszu wieczystego przytułku dla paralityków.

— W warszawskich restauracyach, kawiarniach i hotelach ma być nakazana przez władzę stała pensya dla służby zamiast dotychczasowych napiwków.

— W tych dniach kilku agentów zwerbowało wielu tkaczy do Cesarstwa z Łodzi, Zgierza, Pabjanic, Ozorkowa i Zduńskiej Woli.

— Huta Bankowa w Dąbrowie Górniczej z czystych dochodów, uzyskanych za rok zeszły w sumie 900,000 rs., przeznaczyła 10,000 na gratyfikacye dla pracowników.

— W Krakowie pomocnicy introligatorów wystąpili z żądaniem do majstrów podwyższenia płacy o 30%.

— W Warszawie ceny chleba doszły do wysokości niebywałej od lat niespełna 40-tu.

— Suma pożyczek, wydanych ludności, dotkniętej nieurodzajem w głębi Cesarstwa, wynosi dotąd 16 milionów rs.

— Kongres prawniczy w Medyolanie oświadczył się za wprowadzeniem prawa rozwodowego we Włoszech.

Szkoły. Inspektor szkół m. Warszawy uznał za nieodpowiadające warunkom meble, przygotowane dla szkół początkowych.

— W osadzie fabrycznej Dąbrowa pod Łodzią powstaje 1-klasowa szkoła ogrodnicza.

— W Bzinie otwarto prywatną szkołę żeńską 2-klasową.

— Przy szkole p. Korycińskiej w Warszawie powstał zakład gimnastyczno-leczniczy. Uczęszczać mogą dzieci obojga płci do lat 12 wieku, od 12-go zaś roku tylko kobiety. Koszt nauki 3—6 rs. miesięcznie.

— W Kaliszu zamknięto szkołę ogólną jednoklasową [illegible]

— Zwierzchność gimnazyów i szkół realnych otrzymała polecenie, aby zwracała baczną uwagę na naukę kaligrafii.

— Dr. Niemiłowicz, dotychczasowy docent chemii mikroskopijnej na uniwersytecie wiedeńskim, mianowany został profesorem uniwersytetu lwowskiego.

— Ks. Chotkowski, poseł do rady państwa i profesor uniwersytetu krakowskiego, wybrany został rektorem na bieżący rok szkolny.

— Do pierwszego oddziału szkoły techniczno-przemysłowej w Krakowie zapisała się tak znaczna liczba uczniów, iż ministeryum oświaty zezwoliło na utworzenie równoległej klasy.

— Ogłoszono program nowej państwowej szkoły przemysłowej we Lwowie. Działy: 1) szkoła przemysłu budowniczego, 2) szkoła stolarstwa i ślusarstwa budowniczego, 3) przemysł artystyczny, 4) przemysł drzewny, 5) hafciarstwo i koronkarstwo, 6) szkoła zawodowa rysunku i modelowania.

— W Syamie otwarto pierwszy uniwersytet. Profesorów powołują z Niemiec.

Wystawy. W Radomiu otwarto wystawę starożytności i obrazów na dochód Towarzystwa dobroczynności.

— We Lwowie otwarto wystawę ogrodniczo-pszelniczą.

Wiadomości literackie. We Francyi zaczęło wychodzić pismo p. t. *Revue de l'evolution*, poświęcone psychologii i antropologii sądowej.

Zmarli. Walentyna z Trojanowskich Horoszkiewiczowa, autorka i poetka z dawniejszych czasów.

— Feliks Zawadzki, księgarz i wydawca wileński.

— Augustyn Ribot, malarz.

— Ferd. Prager, kompozytor i krytyk w Londynie.

— Ignacy Świętochowski, w Warszawie. Autor i tłómacz.

— Dr. Kowalewski, prof. uniwersytetu w Petersburgu.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

Panu S. G. 1) w tem znaczeniu nie ma; 2) ścisłej cyfry nie znamy, w każdym razie przechodzi 40,000.

M. Najlepiej taką kanalię zostawić w spokoju.

A. N. Pomimo tej dbałości, o jaką my się staramy, niepodobna uniknąć przytoczenia wyrazów obcych, zwłaszcza gdy one ściśle przetłómaczyć się nie dadzą. Takim jest *survival*, oznaczający to, co przeżyło swój czas, a jeszcze nie przeżyło się, co pozostało jako skamieniałość cywilizacyjna, jako resztka przeszłości w teraźniejszości. Nawet niemcy nie zdołali go oddać dokładnie i zastępują go wyrazem *Ueberbleibsel*.

Pani E. L. Utwór ten nie dla nas.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 29. Дозволено Цензурою, Варшава 20 Сентября 1891 г. Redaktor i Wydawca dr. fil. A. Świętochowski.